Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1 zł — 8 stron | Warszawa, 16 listopada 1952 r. | Nr 46 (138) Rok III

Pisarze na froncie

Z ramienia Komitetów Frontu Narodowego pisarze wyjeżdżali w teren. Stawaliśmy na estradach w małych miasteczkach i wsiach, bywało, że docieraliśmy z naszym słowem aż na przyczółki oświaty, dopiero wczoraj zdobyte, ale może tym bardziej stęsknione spotkania z literatem.

Nie obce mi autorskie wyjazdy, bo jak i inni koledzy mam ich za sobą sporo. Ale dżdżysty, październikowy wieczór, który mnie przywiódł z okolicznej wioski pod Dom Kultury w Przasnyszu miał przynieść nowe doznanie.

Zebranie było wielkie. Chmara ludzi. Tłum oobrósł wszystkie drzwi wielkiej sali, że ani się przecisnąć. Nie na mnie oczywiście czekali. Stuknąłi tu już dobrą godzinę przemówień i referatów, niebawem miała rozpocząć się część artystyczna. Wszedłem zc kulisy i przytulony do skraju pluszowej kurtyny czekałem z książką w ręce na chwilę autorskiego występu.

W pewnej chwili poprosił na sali o głos jakiś niepozorny człowiek. Ów stary chłop z wioski przasnyskiego powiatu przymrużył oczy przed oślepiającym reflektorem i powiedział dwa zdania:

— Dziękuję wam za jedno, żeście mnie nauczyli czytać i pisać. Będę głosował za Frontem Narodowym.

Już schodził z trybuny w nieustającej burzy oklasków. A jeszcze druga uderzyła weń z korytarzy, trzecia zerwała się na scenie wśród prezydium i szkolnego chóru, czekającego obok mnie przy kurtynie.

Biłem brawo i ja, oderwawszy lepiące się palce od okładki mojej broszury. W tej także chwili ogarnął mnie cichy ale ogromny niepokój.

Jeśli wyjdę teraz na podium, jakże zwątlele trzymany w ręce tekst zduszony prawdą tego prostego przed chwilą słowa. A może i śmieszny wyda się teraz mój głos, który na pewno zadrży, a jeszcze gotowi pomyśleć, że to od wzruszenia nad własnym tekstem, bo jakże docieknąć gdzie przyczyna.

Ale na szczęście nie na mój występ była pora.

Głos tego chłopa nie odbiegł mnie, gdy wracałem z Przasnysza do Warszawy. Żyje w uszach po dzisiaj. Chyba za jego sprawą powraca teraz do mnie twarz mojego niepiśmiennego ojca i mojej niepiśmiennej matki, zgasłych już dawno temu. Razem z nimi ukazuje się tamten czas, izba rodzinna, dwie fotografie braci leżących wtedy w rowach pod Kraśnikiem i wszystkie moje małe dni. I ten, w którym ojciec każe mi czytać cyfry na pomniku grunwaldzkim, i ten, gdy matka patrzy z olśnieniem na przebiegane przeze mnie kartki książki z pośpiechem, który był dla niej zjawiskiem niepojętym, i ten wreszcie, pełen obopólnego zawstydzenia, gdy uczyłem ją czytać i pisać. Dziś za sprawą przasnyskiego chłopa znów ją słyszę, dukającą komunikaty spod Kraśnika, i widzę, jakże jasny, blask na jej twarzy, padający z białej karty druku. I to wszystko, czas tamten i ten.

Najzwięźlejszy mówco z trybuny w przasnyskim Domu Kultury! Miałeś rację, gdy dziękowałeś Ojczyźnie Ludowej za skierowany na ciebie promień światła. By ci je dać, trzeba było zatknąć czerwony sztandar na fabrycę w Łodzi a drugi na pałacu obszarnika w twojej wsi, byś mógł w świetlicy zasiąść nad otwartym elementarzem.

Nie zawsze mamy rację my, pisarze dzisiejsi. Przed nami rozpostarł się coraz szerszy, coraz jaśniejszy horyzont czytelniczy, a cóż my pod to światło niesiemy? Plon nasz czasami tylko dostały i pełny, często jest chudy.

W dobie Frontu Narodowego przychodzi autorowi polskiemu popaść nad tym w zadumę. Program Frontu wypisał u swego czoła hasło rozwoju narodowej kultury. Wzywa na stanowiska, woła o wzmożenie wysiłku. Wymaga od nas bogatszej, bardziej owocnej, bardziej artystycznej pracy. Sztuki wytrwałej i dostałej. Wzmogliśmy nakłady wydawnictw do niebywałej w naszych dziejach ilości, otwartym elementarzem oświetliliśmy twarz robotnika i chłopa, ale co wielkiego daje mu nasz trud pisarski? Toteż Front Narodowy wzywa i nas na stanowiska, chce od nas pilnego pochylenia naszych piór ku najwyższemu trudowi.

Pora ku temu poważna. Światło, które padło na próg izby przasnyskiego chłopa, górnika wałbrzyskiej huty, szczecińskiego rybaka, czeka naszego nasycenia. Czeka niecierpliwie, bo nad światłem tego dnia wisi grożąca mu chmura dymów, ponury cień lecącego bombowca, ciemny jak rozpostarta śmierć

Pióra nasze muszą pracować bez wytchnienia. I wasze, koledzy partyjni, i nasze pisarzy bezpartyjnych. A i tych, nielicznych na szczęście, co zamilkli w osamotnieniu i drętwym czekaniu, choć wierzę, że i oni zdolni kochać pokój i jasność dnia, i rosnący komin huty, i elementarz w ręku chłopa — ojczyznę ludu pracującego.

Michał Rusinek

TADEUSZ KONWICKI

Podróż w lata sześćdziesiąte naszego wieku

ODPRAWA NA SZACOWNYM WEHIKULE CZASU

Wpadliśmy z pośpiechem na statek, który parskał kłębami pary. Skierowano nas do nadbudówki mieszczącej salonik. Siedziało tu trzech mężczyzn o bardzo różnej powierzchowności. Zahuczała syrena i statek począł oddalać się od nadbrzeża.

Trzej mężczyźni powstali, aby się z nami przywitać. Byli to inżynierowie. Najwyższy z nich, tęgi blondyn o mocno przerzedzonych włosach — to specjalista od dróg wodnych. Drugi, malutki, z potężną czarną czupryną i wielkimi, jakby zdziwionymi oczami przedstawił się jako meliorant. Domyśliliśmy się, że trzeci, bardzo niepozorny i mocno szpakowaty — jest specjalistą od budownictwa wodnego.

W saloniku wykładanym jesionową boazerią wisiał ciężki zapach namokłego fornieru. Inżynierowie wskazali długi stół usłany planami:

— Proszę zająć miejsca.

Usiedliśmy posłusznie. W kwadratowych okienkach widać było oddalającą się Warszawę, zasnutą dymami, przesłoniętą kurzem jesiennego deszczu. Wokół nas bełkotała żółtawo-zielona Wisła.

Oto, co nam opowiedzieli inżynierowie:

Polska była dotychczas krajem, który nie potrafił uporać się ze swoimi rzekami. Nasze największe rzeki, jak Wisła i Bug, płyną dziko, nieużytecznie. Jedyną ich funkcją dodatnią jest chyba ozdoba krajobrazu. Natomiast woda powodziowa samej tylko Wisły czyniła rok rocznie straty na około 20 milionów przedwojennych złotych. Przed wojną transport wodny stanowił u nas zaledwie 1,6 proc. ogólnego transportu, podczas gdy w Związku Radzieckim współczynnik ten wynosił 35 proc., a w Czechosłowacji 20 proc. Straty spowodowane kolejowym transportem węgla sięgały przed wojną 30 milionów złotych. Transport wodny jest tańszy od transportu kolejowego. Dlatego należy użeglownić Wisłę oraz Bug i włączyć je do ogólnego systemu dróg wodnych. To jest aspekt pierwszy.

Woda płynąca Wisłą i Bugiem niesie w sobie potężną energię, której dotychczas nie wykorzystywaliśmy. Jeśli się ją ujarzmi drogą spiętrzeń — otrzymamy tani prąd elektryczny. Wyzyskanie sił wodnych Wisły i innych rzek może dać rocznie przeszło 8 miliardów kWh energii elektrycznej. Jeśli się założy, że dla wyprodukowania 1 kWh elektrownie zużywają 1,5 kg węgla, to siła wody zastąpi nam 12 milionów ton węgla i pracę 50 tysięcy górników. Oto aspekt drugi.

Przychwycenie w wielkich zbiornikach - jeziorach wody powodziowej uratuje setki tysięcy hektarów ziemi od zalania i zniszczeń. Ta sama woda w czasie letniej posuchy utrzyma mniej więcej równy poziom wody na Wiśle i Bugu, poziom umożliwiający regularną żeglugę. Oto aspekt trzeci.

Zmagazynowaną w zbiornikach wodę będzie można wykorzystać dla rolnictwa. Tereny nawiedzane przez suszę otrzymają drogą kanałów melioracyjnych stały dopływ wody. Dzięki nawodnieniu rolnictwo będzie mogło kilkakrotnie zwiększyć plony. To jest aspekt czwarty.

Dotychczas pozostawaliśmy w defensywie. Broniliśmy żyznej ziemi przed zniszczeniami żywiołu wodnego. Teraz przechodzimy do natarcia. W ciągu najbliższych lat musimy ujarzmić nasze rzeki i przyuczyć je statecznej, pożytecznej pracy.

W saloniku poszarzało od papierosowego dymu. Słuchaliśmy uważnie trochę chaotycznego wykładu. Chaotycznego — bo inżynierowie często sobie nawzajem przerywali.

— Bilans naszej gospodarki jest ujemny — szepcze tajemniczo meliorant korzystając z chwilowej ciszy — Wody jest stale za mało... Dziś woda najważniejsza. A dawniej ją lekceważono.

Wychodzimy na pokład. Przed nami — Modlin oblany rumianym światłem zachodzącego słońca. Za prawą burtą pojawia się łódeczka z wesoło furkocącą na wietrze banderką. Salutuje w niej krzepki staruszek — strażnik rzeczny. Przybija do statku i wchodzi na pokład, aby przywitać się ze swoim synem, kapitanem naszego statku.

Wdajemy się w krótką rozmowę. Staruszek informuje nas, że od 26 lat jest strażnikiem na Wiśle. Oglądamy z góry maleńką łódeczkę.

— Chybotliwa — stwierdza z przekąsem meliorant — gdyby się wywróciła, spory kawał drogi trzeba by było przepłynąć do brzegu.

Specjalista od dróg wodnych ratuje honor wodniaków.

— Pewnie dobrze pływacie? — pyta strażnika.

Dziadziuś z ufnością spogląda mu w oczy.

— Gdzie tam. W ogóle nie umiem pływać. Ani razu przez całe życie nie kąpałem się w Wiśle.

Specjalista od dróg wodnych chrząka i zaczyna badać przy pomocy lornetki wysoki pagór Modlina. Dziadek wraca do łódki, musi przed zmrokiem zawiesić latarnie na bojach wyznaczających drogę dla statków.

Inżynier-wodniak, nie odejmując lornetki od oczu, mówi niedbałym głosem:

— Młodzi wszyscy umieją pływać. Ale w tym wypadku trzeba uszanować wiek...

Prawie o zmierzchu osiągamy ujście Narwi do Bugu. Meliorant biegnie na dziób statku i pociąga nas za sobą.

— Widzicie ten klin lądu między obu rzekami. To jest już dno jeziora warszawskiego. Dookoła nas wszędzie woda, jak okiem sięgnąć...

W tym momencie czepiając się rozpaczliwie lin padamy na pokład. Słychać gwałtowny szmer, jakby ktoś sypał ziarno z worka. Osiedliśmy na mieliźnie. Wokół nas błotniste łąki. O burty chlasta czarna woda. Jedni z nas twierdzą, że Narwi, drudzy, że Bugu. Powściągliwi i stateczni: że Bugo-Narwi. Ja twierdzę, że Narwi. Wydaje mi się słabsza i bardziej bezbronna. Stąd sympatia. W dodatku przecież Bug wpada jak gdyby pod prąd Narwi, a mimo to zawraca i podąża za jej nurtem. Więc kto górą?

MORZE NA SZLAKU NAPOLEONA

Pada deszcz. Auta, którymi krążymy wzdłuż Bugu, grzęzną w błocie, chwilami omal nie pływają. Nie trudno więc ujrzeć w wyobraźni tę rzekę z roku 1960 Ale najpierw trzeba się z nią zaznajomić, przecież będzie nam towarzyszyć w ciągu całego jesiennego dnia.

Bug jest grzeczniejszy od Wisły. Skromniejszy, bez kaprysów, nie niesie takiej fali powodziowej jak Wisła. Wody jego są czystsze (przepływające statki brały zawsze z Bugu wodę na herbatę), bez tego wszędobylskiego piachu. Ale mimo to trudny do żeglugi. Spadek na jednym kilometrze Bugu wynosi 14—20 cm. Inżynierowie nie chwalą wynikającej stąd rączości nurtu rzeki.

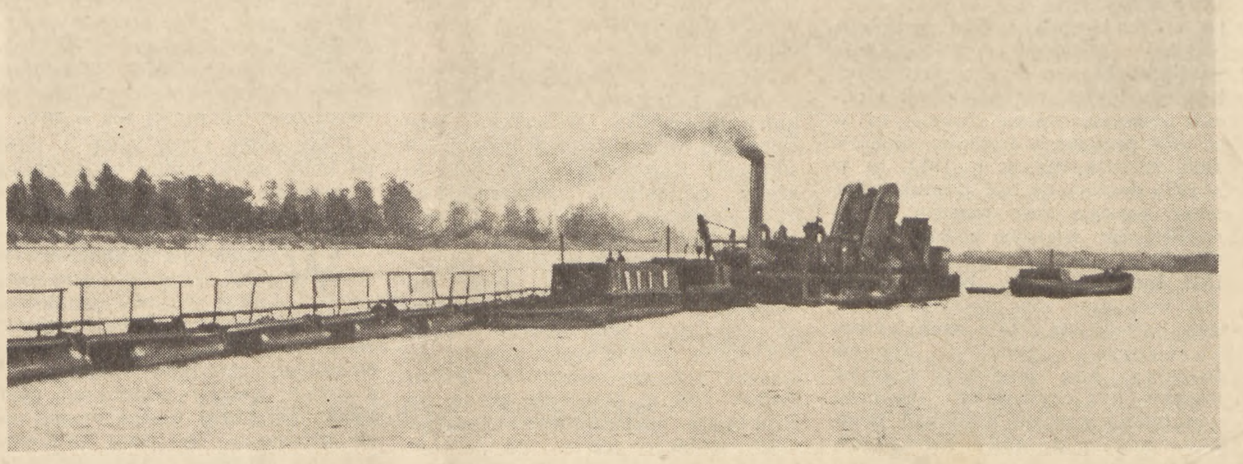
Bugowi przypadł w udziale zaszczyt zainaugurowania wielkiej magistrali komunikacyjnej: wodnej Trasy W—Z. Bug będzie odcinkiem tego szlaku, biegnącego dalej Wisłą do Bydgoszczy, potem kanałem bydgoskim do Noteci i dalej Wartą do Odry.

Bug zostanie podzielony na pięć odcinków. Każdy z nich będzie zamknięty zaporą, względnie jazem. Otrzymamy dzięki temu pięć spiętrzeń wodnych, pięć zbiorników-jezior.

Dzięki tej kanalizacji Bug stanie się rzeką żeglowną. Uniesie wtedy tysiąctonowe barki (a tysiąctonowa barka mieści w sobie bez trudu spory pociąg towarowy).

Wśród tego jesiennego deszczu, siąpiącego bezustannie, jeździmy od jednej zapory do drugiej. Wspinamy się na pagórki, które są dziś zalążkami przyszłych tam. Przed nami rozległe, płaskie doliny, porosłe z rzadka zagajnikami Cha-

Dokończenie na str. 4-ej



Refuler „Gdańska" pracuje przy pogłębianiu dolnego biegu Wisły. Refuler ten przekopuje wielkie kępy wiślane, wytyczając nurt przyszłej, uregulowanej rzeki

JERZY JURKIEWICZ

Zagadnienie perspektywy

Mam kolegę — jeszcze z Uniwersytetu. W czasie studiów był dość porządnym chłopakiem, nie dał się wciągnąć do żadnej z faszyzujących organizacji, a raz w okresie Frontu Ludowego brał nawet udział w pochodzie 1-Majowym. Nie było to u niego zresztą wyrazem jakiegoś skrystalizowanego światopoglądu — potem w pochodach 1-Majowych już nie chodził — w każdym razie nawet w ostatnich latach przedwojennych, latach dużej faszyzacji uniwersytetu, był np przeciwny antysemickim awanturom. Wynikało to u niego zresztą znowu raczej z jakiejś mętnej mieszaniny zastrzeżeń moralnych, estetycznych i religijnych (był zresztą wierzący w sposób dość ogólny i niezdecydowany), niż z uświadomienia sobie celów, dla których awantury antysemickie były organizowane.

W czasie wojny oczekiwał wyzwolenia przez Anglię i Amerykę — jakoś w ogóle nie wchodziło u niego w rachubę, że wyzwolenie mogłoby przyjść skądinąd. Sympatyzował z AK, ale do niej nie należał, bo w AK widział za dużo kręcących się sanacyjnych macherów i zdemoralizowanych przedwojennych oficerów zawodowych. AL jakoś do niego nie trafiła.

Wyzwolenie Polski ze wschodu zastało go całkowicie nieprzygotowanym. Inaczej sobie ten dzień wyobrażał — widok polskich żołnierzy, polskich chorągwi, dźwięki „Jeszcze Polska" i „Roty" wzruszyły go głęboko — ale, jeżeliby chcieć ściśle określić jego stosunek do tego, co się dzieje, to chyba trzeba by to jakoś tak ująć: „No cóż, jeżeli już są u władzy, to będę lojalny — trzeba im dać szansę, niech pokażą, co potrafią".

Zresztą okres myślenia kontemplacyjnego na razie zakończył się u niego na tym sformułowaniu — dalszy ciąg miał przyjść dużo później. Okazało się, że teraz nie można było stać z boku i przyglądać się — za dużo było roboty, która ciągnęła. Szkoda że nie był inżynierem, czy lekarzem, no, ale przecież nie wszyscy są. On zaczął pracować w PKP. Był sumiennym i dobrym pracownikiem, oczywiście awansował.

W wyborach głosował naturalnie za Blokiem Demokratycznym — nie widział żadnego powodu, by głosować za Mikołajczykiem — i sam nie spostrzegł, kiedy zamiast „oni" zaczął mówić „my". Możliwe, że było to wtedy, kiedy udało się doprowadzić do punktualnego przychodzenia pociągów, możliwe, że wtedy, kiedy Byrnes wystąpił pierwszy raz jawnie za oddaniem Ziem Zachodnich Niemcom — najprawdopodobniej jednak nie było jakiegoś takiego szczególnego momentu — po prostu okazało się, że nie można mówić „my", kiedy się rozmawia o codziennych problemach rozbudowy i ulepszenia kolejnictwa, a „oni" kiedy się o tej rozbudowie i ulepszeniu kolejnictwa mówi w sposób bardziej ogólny. W związku zawodowym obrano go najpierw mężem zaufania, a potem członkiem rady oddziałowej, w drodze wyróżnienia zaproszono go do uczestnictwa w kursach ideologicznych, na cotygodniowych prasówkach zaczął sam od czasu do czasu wygłaszać referaty. Wydawałoby się, że wszystko w porządku, człowiek rośnie jak należy, biografia typowa.

Ale...

Ale kiedy spotkałem się z nim w tym roku w lecie na urlopie, był jakiś apatyczny, milczący... Długo nie mogłem z niego wyciągnąć o co chodzi — może się wstydził, był przecież aktywistą związkowym, sam szkolił innych. Wreszcie się jednak rozgadał.

„Ty nie myśl, że mnie chodzi o to, że nie mam ani chwili wolnego czasu, że jak skończę pracę, to zaczynają się konferencje, jak skończę konferencje, to zaczynają się zebrania, że z żoną widuje się tylko przy kolacji, a i to nie zawsze. Kiedy pierwszy raz ogłoszono plan 6-letni, kiedy go potem podwyższono — byłem porwany: zrobić w kilkanaście lat to, co inne kraje robiły przez stulecia, zrealizować marzenia Prusa, Żeromskiego — to mnie wzięło. Pracowałem z rzeczywistym entuzjazmem, nic nie miało dla mnie znaczenia. No i cóż — 3-letni plan już zrealizowany, 6-letni plan mamy wykonany już chyba blisko w połowie — i co, jaka radykalna zmiana w moim życiu nastąpiła? Nic. Skończymy plan 6-letni, będziemy produkowali 200 kg stali na głowę. Niemcy czy Anglia już od kilkudziesięciu lat prawdopodobnie produkują tyle albo trochę więcej — i co im z tego? Po planie 6-letnim zrobimy plan 5-letni, uregulujemy Wisłę. W takiej Belgii czy Holandii prawdopodobnie wszystkie rzeki już od dawna są uregulowane — i co z tego? Pracuję w dalszym ciągu w związkach zawodowych, wygłaszam prelekcje na prasówkach, robię to szczerze, gdyż wiem, że nie ma dla Polski innej drogi, jak doganiać w rozwoju gospodarczym przodujące kraje — nie potrzebujesz mnie o tym przekonywać, ja sam ciebie potrafię przekonać — ale dlaczego mam się tą przykrą koniecznością entuzjazmować, skąd mam wziąć zapał?"

Usiłowałem, o ile sobie przypominam, wytłumaczyć mu wtedy, że jego załamanie jest chwilowe, ale kiedy potem zastanowiłem się nad naszą rozmową, doszedłem do przekonania, że lekceważąco prześliznąłem się nad poważną sprawą. To nie była sprawa przejściowych życiowych trudności, o co w naszej rozmowie chodziło — to była sprawa perspektywy. Nie można stawiać sobie za cel: doścignięcie poziomu rozwoju przemysłowego Anglii, Niemiec czy Stanów Zjednoczonych. Nie ulega wątpliwości, że znaczna część naszej inteligencji wciągnięta została do pracy hasłem odrobienia wiekowego zacofania Polski, pozytywistycznymi ideami większej ilości fabryk i szkół, że w pracy tej wyrosła ideologicznie — ale właśnie dlatego przychodzi moment, kiedy ten wzrost ideologiczny zaczyna przekraczać ramki dotychczas wystarczających haseł, kiedy staje się jasne, że rozwój produkcji nie może być celem i okazuje się, że są momenty, kiedy trzeba widzieć dalszą perspektywę po to, by się nie ugiąć przed przejściowymi trudnościami.

I na tym m. in. polega wartość historycznej pracy Stalina „O ekonomicznych problemach ZSRR", że Stalin określił w niej, po raz pierwszy w rozwoju ekonomii naukowej, podstawowe prawo ekonomiczne socjalizmu, określił charakter i wzajemny stosunek praw ekonomicznych socjalizmu i sprecyzował warunki przejścia do ustroju komunistycznego. Że praca ta ma dla milionów ludzi na świecie, budujących w ciężkim trudzie socjalizm i komunizm, takie znaczenie, jakie by miało danie do ręki mapy ludziom idącym przez nieznaną okolicę i tylko bardzo ogólnie znającym drogę, którą mają iść, i odległość, która ich od celu dzieli. A wśród tych milionów ludzi jest i polska inteligencja pracująca. Po ukazaniu się pracy Stalina nie będzie chyba możliwe takie zjawisko jak rozmowa z inteligentnym człowiekiem, który w zniechęceniu wyobraża sobie, że całe życie zejdzie mu na doganianiu Stanów Zjednoczonych.

Rozmowa taka będzie niemożliwa po ukazaniu się pracy Stalina, która osiągnięcie komunizmu z niedoścignionego marzenia zmienia w zadanie długofalowe i bardzo ciężkie, ale określone i umiejscowione w czasie, do którego realizacji Związek Radziecki już teraz przystępuje.

W pracy swej Stalin przede wszystkim sformułował zasadnicze prawo ekonomiczne socjalizmu. Prawem tym jest „zapewnienie maksymalnego zaspokojenia stale rosnących materialnych i kulturalnych potrzeb całego społeczeństwa w drodze nieprzerwanego wzrostu i doskonalenia produkcji socjalistycznej na bazie najwyższej techniki". Prawo to jest takim samym prawem jak prawo przyrodnicze, to znaczy działającym niezależnie od woli poszczególnych ludzi. Ten, kto układa plany gospodarcze, może jedynie prawo to zrozumieć i umiejętnie zastosować — nie może go zmienić. Im lepiej to prawo zrozumie i potrafi zastosować, tym lepszy będzie jego plan i tym łatwiej potoczy się rozwój gospodarczy kraju, im gorzej to prawo zrozumie i zastosuje, wśród tym większych tarć i przejściowych trudności to prawo będzie się realizować. Już sam jednak układ stosunków wytwórczych w społeczeństwie socjalistycznym jest taki, że prawo to musi działać. Prawo to istnieje obiektywnie, niezależnie od woli i świadomości ludzi. Marksizm uczy, że prawa ekonomii politycznej socjalizmu są odbiciem w umysłach ludzi prawidłowości obiektywnych, istniejących poza nami... „Ludzie mogą odkryć te prawa, poznać je i opierając się na nich wykorzystać je w interesie społeczeństwa, nadać inny kierunek niszczącemu działaniu niektórych praw, ograniczyć sferę ich działania, otworzyć pole działania innym prawom torującym sobie drogę, nie mogą jednak ich znieść ani też stworzyć nowych praw ekonomicznych". (Stalin — Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR).

Co z tego zasadniczego prawa socjalizmu wynika. Wynika m. in. to, że nie można stosować analogii między krajem kapitalistycznym i socjalistycznym opierając się na rozmiarach produkcji.

Nie byłoby nic bardziej zawodnego niż zniechęcenie mojego rozmówcy wynikające z faktu, że znaczna część jego życia upłynie na dopę-

Dokończenie na str. 2-giej

W numerze

Dyskusja o „Wrześniu" Jerzego Putramenta; **Tadeusz Różewicz** — Opowiadania węgierskie; **Józef Ozga-Michalski** — Z Kieleccczyzny do Moskwy i Taganrogu; **Wanda Leopold** — Druga młodość Chakasji; **Janina Preger** — Nowe wiersze Słuckiego; **Hieronim Michalski** — Interesujący debiut; **Józef Kelera** — Literatura stanisławowska dla szkoły średniej; **Jan Stefczyk** — Wydawcy, pisarze i czytelnicy.

ARNOLD SŁUCKI

LIST DO STANICY BUDARINO

Towarzyszu Zenkin,
towarzyszu Dawydow,
wciąż was widzę przed oczyma:
step dzwonił pieśnią i żelazem,
i jeszcze pali mnie ta zima,
kiedy marzliśmy
razem.

Towarzyszko Zorina,
nauczycielko —
ty mnie ze wszystkich najlepiej
pamiętasz.

Płonęła stanica ogniem wysokim,
świeciły pożary
wodom głębokim —
i gwiazdy
z dymem uchodziły,
gdzie Wołga,
prom,
i noc odwrotu.

Tej nocy Jurij zmarł,
twój syn.

Nazajutrz śnieg nad stepem
spadł —
na słoneczników las.
W chustce, w butach wojłokowych
szłaś,
śniegu skrzyp,
toporu błysk pamiętam...
Gdzieś ty, Jurij, Jurij, synku!
Jurków w klasie było pięciu —
z chrustem wór dźwigałaś ciężki,
by im nie grabiały ręce...

Towarzyszu Zenkin,
traktorzysto,
pozdrawiam cię — tyś mnie nauczył
oliwić traktor,
ziarno suszyć.
I wy, pszczelarze budarińscy,
sadownicy fiłonowscy,
opołczeńcy *) o obwisłych
wąsach i skupionej trosce —
widzę was i mowę waszą
nadwołżańską jeszcze słyszę...
gwiazd spadania nie zapomnę,
ani budarińskiej ciszy.

Przyjacielu mój, Dawydow,
kimże byłem u was — gościem?
Ciebie, ojcze, dziś wspominam,
za strawę ciepłą,
za gościnę,
i żonie twej Pelagii pokłon —
żem z losem swym się nie rozminął,
pozdrawiam ciebie,
Budarino!

*) żołnierze pospolitego ruszenia.

Pisarze zachodni przeciw wojnie i faszyzacji

Poniżej zamieszczamy apel w obronie pokoju podpisany przez siedmiusetpięćdziesięciu literatów i działaczy kulturalnych Zachodu oraz obszerne fragmenty listu otwartego Grahama Greene'a do Chaplina, w którym znajdujemy ostre potępienie prześladowań postępowych twórców przez osławioną komisję do badania działalności antyamerykańskiej.

Wśród podpisanych pod apelem spotykamy nazwiska takich pisarzy jak Maurois — „moralisty", który zaangażowawszy się w akcję antykomunistyczną doszedł do granic, kiedy polityczna polemika wyradza się w denuncjację; Aldousa Huxley'a — „integralnego" pacyfisty i liberała burżuazyjnego; Camus'a, jednego z twórców egzystencjalizmu, obecnie bardziej „na prawo" od samego Sartre'a. List do Chaplina napisał również „integralny" pesymista, pisarz, przedstawiający ludzi samotnych, reakcjonista w poglądach politycznych.

Czy ich podpisy pod tekstami potępiającymi wojnę i faszyzm świadczą, że przeszli oni na inne pozycje? Nie możemy tego twierdzić.

Ale zdarzenie to dobitnie świadczy o tym, że coraz więcej twórców kultury, reprezentujących nawet reakcyjną ideologię przeciwstawia się grożącej światu wojnie, a widząc, że produkty wojennych tendencji noszą amerykański znak fabryczny — supremacji USA.

Szczególnie ciekawy w liście Greene'a jest fragment mówiący o tym, jak intelektualiści angielscy bojkotują amerykańskie próby dławienia wartościowej twórczości filmowej. Czy ma to jakiś związek z brutalnym wypieraniem Anglii przez USA, spychaniem jej na margines „wielkiej polityki"? Chyba tak.

Czy nie stanowi świetnej ilustracji do tezy, że w obecnej chwili sprzeczności wewnętrzne w krajach kapitalistycznych nie maleją — ale wręcz przeciwnie — rosną? Oczywiście.

Nie można przesądzać jak rozwinie się na Zachodzie akcja ruchu obrońców pokoju, jakich zwolenników zdobędzie jeszcze wśród ludzi, którzy nic nie mają wspólnego z postępową twórczością, lecz buntują się przeciw USA i faszyzmowi. Nie ma co się łudzić, że wyłamywanie się poszczególnych reprezentantów wyrodniejącej kultury burżuazyjnej z militarystycznego drylu USA stanowić może o zmianie jej funkcji. Ale na tle podanych tutaj faktów stwierdzić można na pewno, że w sytuacji, kiedy w krajach Zachodu „sztandar swobód burżuazyjno-demokratycznych wyrzucony został za burtę... sztandar ten wypadnie podnieść przedstawicielom partii komunistycznych i demokratycznych i ponieść go naprzód..." (Stalin), i że pójdą prędzej czy później za tym sztandarem wszyscy, w których żyje sumienie i umiłowanie wolności.

Apel pisarzy zachodnich o pokój

Na początku bieżącego miesiąca 750 pisarzy zachodnich w obliczu narastającej groźby wojny i stale postępującej naprzód faszyzacji krajów kapitalistycznych wystosowało apel — oświadczenie solidaryzujące się z ruchem Obrońców Pokoju. Tekst tego oświadczenia brzmi:

„My pisarze sądzimy, że nasza cywilizacja nie przetrwa następnej wojny światowej. Wierzymy, że różne systemy polityczne i gospodarcze mogą istnieć obok siebie na podstawie umów i układów pokojowych. Jako pisarze, potrzebujemy pokoju i będziemy starali się o jego zachowanie za pomocą naszej pracy i zobowiązujemy się wspomóc międzynarodowe porozumienie. Potępiamy literaturę zmierzającą do potęgowania istniejących niebezpieczeństw i nienawiści. Bez względu na przynależność polityczną czy religijną, będziemy dążyć do powstrzymania tendencji wojennych".

Apel podpisali m. in. następujący pisarze: Ruby M. Ayres, Adrian Bell, Edmund Blunden, Marjore Bowen, Vera Brittain, Albert Camus, T. E. B. Clarke, Alex Comfort, Rupert Croft Cooks, A. E. Coppard, D. M. Davin, Christopher Fry, William Gerhardi, Douglas Goldring, Elizabeth Goudge, Joyce Grenfell, Neil M. Gunn, Laurence Housman, Aldous Huxley, C. E. M. Joad, Sheila Kaye-Smith, Alan M. Laing, Marghanita Laski, C. Day Lewis, Jack Lindsay, Roger Macdougall, Compton Mackenzie, Joseph Macleod, Ethel Mannin, H. J. Massingham, Andre Maurois, Naomi Michison, Joseph Needham, Seon O'Casey, Eric Parker, Cedar Paul, Eden Philpotts, Kathleen Raine, Herbert Read, Cecil Roberts, Mazo de la Roche, Paul Rotha, Keidrych Rhys, Siegfried Sassoon, J. W. Robertson Scott, Clare Sheridan, Christina Stead, Leslie Storm, L. A. G. Strong, Frank Swinnerton, Dylan Thomas, Vercors, Silvia Townsend Warner, Harry Watt, Alexander Werth.

ZAGADNIENIE PERSPEKTYWY

Dokończenie ze str. 1-ej.

dzaniu państw kapitalistycznych, które znacznie wyprzedziły Polskę przedwojenną w rozwoju gospodarczym. Fakt, że produkcja stali na głowę w którymś z przodujących krajów kapitalistycznych wynosi np. 300 kg, i moment, w którym produkcja stali będzie wynosiła 300 kg na głowę w Polsce nie mają ze sobą nic wspólnego. U nas ta cyfra 300 kg oznacza, że rok przedtem było np. 250 kg, za rok będzie np. 350 kg, a za 2 lata np. 400 kg. Natomiast produkcja np. 300 t. stali na głowę w jakimś kraju kapitalistycznym świadczy tylko o tym, że kapitaliści realizują maksymalne zyski w danym okresie, przy produkcji właśnie tej ilości — za kilka lat może się okazać, że maksymalne zyski realizować będą przy produkcji 310 t., lecz równie dobrze może się okazać, że maksymalne zyski będą realizować przy produkcji np. 250 kg na głowę. Faktem jest, że rozmiary produkcji większości krajów kapitalistycznych od kilkudziesięciu lat oscylują wokół pewnego poziomu, lecz nie wzrastają.

Ważniejsze jest jednak to, że w społeczeństwie socjalistycznym wzrost i doskonalenie produkcji socjalistycznej jest środkiem dla maksymalnego zaspokojenia stale rosnących materialnych i kulturalnych potrzeb całego społeczeństwa. Jeżeli plan zakłada u nas wzrost produkcji stali w 1955 r. do pewnego poziomu, to w tym celu i z tym niezawodnym skutkiem, by w r. 1956 w odpowiedni sposób wzrosła produkcja maszyn z tej stali, a w r. 1957 znowu w odpowiedni sposób wzrosła ilość produktów, wyrzucanych przez te maszyny na rynek. Sporządzenie innego planu w gospodarce socjalistycznej jest niemożliwe — gdyby planista spróbował opracować inny plan, to albo wskutek istniejących stosunków produkcji prędzej czy później zostałby zmuszony do zmiany planu, albo, jak np. w Jugosławii, musiałby siłą zmienić stosunki produkcji i zacząć z powrotem wprowadzać kapitalizm.

Wreszcie prawem socjalizmu jest, że wzrost i doskonalenie produkcji socjalistycznej odbywa się na bazie najwyższej techniki. Jest to zupełnie jasne, gdyż w interesie maksymalnego zaspokojenia stale rosnących materialnych i kulturalnych potrzeb całego społeczeństwa leży i musi leżeć zastosowanie najwyższej techniki — oczywiście przy właściwym i ekonomicznym wykorzystaniu istniejących już maszyn. Natomiast w społeczeństwie kapitalistycznym, dla zapewnienia maksymalnego zysku, równie dobrze służyć może zastosowanie nowoczesnej techniki, jak i wykupienie patentu po to, by nie dopuścić do wprowadzenia dokonanego wynalazku. „Kapitalizm występuje za nową techniką, gdy rokuje mu ona najwyższe zyski. Kapitalizm występuje przeciwko nowej technice i za przejściem do pracy ręcznej, gdy nowa technika nie rokuje mu już najwyższych zysków". (Stalin: „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR").

Dlatego wówczas, kiedy gospodarka nasza osiągnie obecny w Stanach Zjednoczonych poziom produkcji na głowę, będzie to miało zupełnie inne znaczenie niż w USA — nie tylko dlatego, że dobrobyt będzie nieporównanie większy, gdyż na rzecz szerokich warstw narodu pójdą zyski czerpane w St. Zjedn. przez monopolistów i burżuazję i kolosalne sumy, przeznaczane tam na zbrojenia, ale przede wszystkim dlatego, że u nas będzie to tylko jeden krok, jeden etap w ciągłym rozwoju, że młody człowiek, który w tym momencie będzie miał 20 lat, w 25-tym roku życia zobaczy już poziom dobrobytu Stanów Zjednoczonych przekroczony o 50 czy 100 procent. I że odpowiednio z roku na rok i nieprzerwanie będzie wzrastało z jednej strony zaspokojenie materialnych i kulturalnych potrzeb całego społeczeństwa — z drugiej, wskutek zastosowania najnowszej techniki, spadać będzie trud jej wyprodukowania.

Oczywiście zasady, że przy socjalizmie celem jest zaspokojenie potrzeb, a środkiem wzrost produkcji, nie można rozumieć w sposób wąski i fałszywy. Prawem socjalizmu jest zaspokojenie „stale rosnących" potrzeb, jest stały wzrost produkcji. Środkiem do osiągnięcia tego celu jest szybszy rozwój produkcji środków produkcji, niż produkcji środków spożycia. Jeżeli chcemy, by w r. 1953 produkcja środków spożycia była wyższa, niż w r. 1952, to w r. 1953 muszą one być produkowane przez większą ilość maszyn niż w r. 1952. Im większy będzie wzrost produkcji maszyn między r. 1950 a 1951, tym burzliwszy będzie przyrost produkcji dóbr spożycia w latach następnych, i stałe zachowywanie nadwyżki produkcji środków produkcji nad produkcją środków spożycia jest czynnikiem regulującym tempo wzrostu produkcji środków spożycia w latach następnych. Przeważający wzrost produkcji środków produkcji potrzebny jest nie tylko dlatego, że musi on zapewnić wyposażenie w sprzęt zarówno własnych przedsiębiorstw, jak i przedsiębiorstw wszystkich pozostałych gałęzi gospodarki narodowej, lecz również dlatego, że bez niego niemożliwa jest w ogóle produkcja rozszerzona.

I tą drogą, drogą coraz pełniejszego zaspokajania materialnych i kulturalnych potrzeb społeczeństwa dochodzić będziemy do komunizmu. Ale po pracy Stalina komunizm przestaje być jakimś nieokreślonym celem, który kiedyś, w niewiadomej przyszłości będzie osiągnięty. Praca Stalina wyznacza warunki, które muszą być spełnione przed rozpoczęciem podziału dóbr według potrzeb — wyznacza niejako etapy, którymi będziemy osiągali komunizm. Nie mogę tu się powstrzymać, by nie wspomnieć o innej rozmowie, w której wprawdzie sam nie brałem udziału, ale której byłem świadkiem. Rozmawiało dwóch ZMP-owców i jeden z nich twierdził, że nie ma nic prostszego, jak zacząć w Związku Radzieckim realizować komunizm... Rozumowanie jego brzmiało mniej więcej w ten sposób: „Przecież produkcja zboża w Związku Radzieckim już teraz wystarcza, by każdemu obywatelowi zapewnić tyle chleba, ile potrafi zjeść. Po nawodnieniu pustyni Kara-Kum i wykończeniu leśnych pasów ochronnych sytuacja ta jeszcze znacznie się poprawi. Cóż wskutek tego prostszego — i tak co roku Związek Radziecki przeprowadza obniżkę cen. Wystarczy, żeby przy najbliższej okazji takiej obniżki zarządzić, że chleb będzie można nabyć w ogóle bezpłatnie, a za to ceny innych towarów obniżyć trochę mniej niż normalnie. Jeden człowiek na pewno nie potrzebuje dziennie np. 2 kg chleba — wystarczyłoby więc wprowadzić kartki, które określałyby maksymalną ilość dzienną chleba dla jednej osoby — oczywiście w granicach pełnego zaspokojenia najbardziej wymagających potrzeb w tym zakresie — i już mielibyśmy początek komunizmu".

Otóż nic dalszego od drogi wskazanej przez Stalina, jak takie przedwczesne dekretowanie jakiegoś surogatu komunizmu.

Stalin pisze: „Ażeby przygotować rzeczywiste, a nie deklaratywne przejście do komunizmu, należy zrealizować przynajmniej trzy podstawowe warunki wstępne".

Jakie to są warunki?

Po pierwsze, trzeba na trwałe zapewnić nieprzerwany wzrost całej produkcji społecznej z przewagą wzrostu produkcji środków produkcji.

Po drugie, trzeba w drodze stopniowych przejść, realizowanych z korzyścią dla kołchozów, a więc i dla całego społeczeństwa, podnieść własność kołchozową do poziomu własności ogólnonarodowej, a cyrkulację towarów zastąpić, również w drodze stopniowych przejść, systemem wymiany produktów. W tym celu trzeba zorganizować we wszystkich gałęziach rolnictwa wymianę produktów rolnych na przemysłowe i rozwinąć ją w szeroki system wymiany produktów tak, ażeby kołchozy otrzymywały za swoją produkcję nie tylko pieniądze, lecz głównie niezbędne wyroby. System taki będzie wymagał ogromnego zwiększenia produkcji dostarczanej przez miasto dla wsi.

Po trzecie, trzeba osiągnąć taki poziom kulturalny społeczeństwa, który zapewniłby wszystkim jego członkom wszechstronny rozwój ich zdolności fizycznych i umysłowych, ażeby członkowie społeczeństwa mieli możność uzyskania takiego wykształcenia, które mogłoby z nich uczynić aktywnych działaczy rozwoju społecznego, ażeby mieli oni możność swobodnego wyboru zawodu. W tym celu trzeba przede wszystkim skrócić dzień roboczy do sześciu, a potem nawet do pięciu godzin. Jest to niezbędne po to, by członkowie społeczeństwa uzyskali dość wolnego czasu na zdobycie wszechstronnego wykształcenia. Trzeba dalej w tym celu wprowadzić powszechny obowiązek nauczania politechnicznego, co niezbędne jest po to, by członkowie społeczeństwa mieli możność swobodnego wyboru zawodu, a nie byli przykuci na całe życie do jakiegoś jednego zawodu. Trzeba dalej w tym celu radykalnie polepszyć warunki mieszkaniowe i podnieść realne płace robotników i urzędników co najmniej dwukrotnie, jeśli nie więcej, zarówno w drodze bezpośredniego podnoszenia płac pieniężnych, jak i w szczególności w drodze dalszego systematycznego obniżania cen przedmiotów masowego spożycia.

Dopiero po spełnieniu tych w s z y s t k i c h warunków wstępnych łącznie, będzie można przejść od formuły socjalistycznej — „od każdego według jego zdolności, każdemu według pracy" do formuły komunistycznej — „od każdego według zdolności, każdemu według potrzeb", gdyż dopiero po spełnieniu tych wszystkich warunków wstępnych łącznie będzie można spodziewać się, że praca zostanie przekształcona w oczach członków społeczeństwa z ciężaru w „pierwszą potrzebę życiową", że „praca przestanie być ciężarem, a stanie się przyjemnością", że własność społeczna traktowana będzie przez wszystkich członków społeczeństwa jako niewzruszona i nietykalna podstawa jego istnienia.

Kiedy czytamy ten program, uderza nas w nim nie tylko powaga, z którą wymienione są wszystkie trudności i ciężkie zadania, stojące jeszcze na drodze do wprowadzenia komunizmu, ale również nastrój niezachwianej pewności, że wszystkie te warunki są dla społeczeństwa radzieckiego możliwe do zrealizowania i w bliskiej przyszłości będą zrealizowane. Pewność ta płynie nie tylko z faktu, że wynikają one z zasadniczego prawa ekonomicznego socjalizmu, ale (ponieważ w socjalizmie teoria i praktyka ściśle się łączą ze sobą) również z praktyki i dotychczasowych osiągnięć Związku Radzieckiego. W pracy swej Stalin cytuje słowa Lenina wypowiedziane w r. 1920: „Komunizm to władza radziecka plus elektryfikacja całego kraju". Z referatów sprawozdawczych na XIX Zjeździe dowiedzieliśmy się, że rozwój produkcji energii elektrycznej w ZSRR wygląda jak następuje: rok 1913 — 1,9 miliarda kWh, r. 1928 — 5 miliardów kWh, rok 1938 — 39,6 miliarda kWh, rok 1950 — 82 miliardy kWh, rok 1955 (plan — 162 miliardy kWh.

W pracy swej Stalin, jako warunek przejścia do komunistycznego systemu rozdziału, podaje m. in. powszechny obowiązek nauczania politechnicznego. Piąty plan pięcioletni ZSRR przewiduje objęcie do r. 1955 nauczaniem 100% młodzieży w większych miastach i ośrodkach przemysłowych, wprowadzenie studiów politechnicznych na wyższych latach szkoły średniej i stworzenie warunków dla pełnej realizacji w następnej pięciolatce powszechnego średniego wykształcenia w pozostałych miastach i miejscowościach wiejskich.

W pracy swej Stalin, jako jeden z warunków przejścia do komunizmu, podaje m. in. co najmniej dwukrotne podwyższenie realnych płac. Plan 5-letni przewiduje podwyższenie realnej płacy robotników i pracowników umysłowych między rokiem 1951 a 1955 nie mniej niż o 35%, podwyższenie dotacji państwowych na ubezpieczenia społeczne o 30% i podwyższenie dochodów kołchoźników nie mniej niż o 40%.

I tak dalej, i tak dalej — każdy po kolei punkt planu pięcioletniego to krok na drodze do realizacji programu przejścia do komunizmu.

Wreszcie, na zakończenie tego artykułu, muszę przytoczyć jeszcze jedną rozmowę — tym razem z jednym towarzyszem, obecnie etatowym pracownikiem związków zawodowych, a przed wojną robotnikiem ziemnym. Wyraziłem kiedyś wobec niego zdziwienie, że jedna 14-tonowa koparka krocząca zastępuje pracę kilku tysięcy ludzi. Popatrzył na mnie z politowaniem.

— „A czy wy wiecie, towarzyszu, co to są roboty ziemne? Weźcie np. kopanie wykopu. Jeżeli wykop nie jest głęboki, taki np. na 1 czy 1,5 m, to najpierw wyrzucacie ziemię z wykopu na jego brzeg, a potem drugi, albo wy sami musicie ją jeszcze raz przerzucić łopatami jakie 2 m dalej, bo by się zsypała. Jeżeli ziemia jest ciężka, jeden człowiek może za dzień takiego płytkiego wykopu wykopać np. 1 m^3. Dużo gorzej jest, gdy wykop jest głęboki — na kilka czy kilkanaście metrów. Wtedy po brzegu wykopu budujecie zakosem ścieżkę, układacie na niej deskę i musicie taczkami wywozić ziemię na górę. Kiedy jeszcze jest mokro, to deska jest śliska, taczka z niej spada — spróbujcie wtedy taką taczkę z powrotem ułożyć na desce. Jak myślicie, ile takiej wykopanej i wywiezionej ziemi wypadnie na jedną roboczodniówkę?

A czternastotonowa koparka krocząca w jednym ruchu wykopuje i przerzuca na taką odległość jak potrzeba 14 ton ziemi — tyle ile co najmniej 14 ludzi musiałoby kopać i wywozić przez cały dzień. A teraz obliczcie sobie, ile taka koparka robi ruchów na godzinę i ile na dobę".

ZSRR przystąpił do budownictwa socjalizmu i w dobie wyjątkowych trudności startował prawie dokładnie od zera — nawet ten przemysł, który był w r. 1914, został zniszczony całkowicie w ciągu I wojny światowej, rewolucji i wojen domowych. Przejście od kilku tysięcy umazanych w ziemi kopaczy do jednego mechanika, który z minimalnym wysiłkiem wykonuje ich pracę, to kwestia czterech pięciolatek — 20 lat. Piąty plan pięcioletni przewiduje w zasadzie zakończenie mechanizacji najbardziej pracochłonnych robót — m. in. masową produkcję używanej już koparki 35-tonowej. Kto odważy się wyobrazić sobie, jak będzie wyglądał Związek Radziecki za następne 25 lat! Czy ten mechanik na 35-tonowej koparce, zastępujący pracę kilkunastu tysięcy kopaczy, nie jest dostatecznie wymownym drogowskazem na drodze do komunizmu?

Uchwalone na XIX Zjeździe dyrektywy w sprawie piątego planu 5-letniego w ZSRR i program wyborczy Frontu Narodowego w Polsce dają nam perspektywy najbliższej przyszłości, przyszłości na skalę najbliższych lat — praca Stalina „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR" daje perspektywę na długie lata, na okres dalszej budowy socjalizmu i przechodzenie do komunizmu. I, jeżeli będziemy mieli mocno w pamięci, że Partia Komunistyczna swoje plany i programy wypełnia, że plan w Związku Radzieckim — i w Polsce — jest tak samo ścisłym opisem przyszłości, jak historia jest opisem przeszłości, w zupełnie innym świetle ujrzymy nasze codzienne trudności i nasze codzienne zadania i w zupełnie innym świetle ujrzymy rolę, jaką naszemu pokoleniu przypadło odegrać w historii.

Jerzy Jurkiewicz

List otwarty Greene'a do Charlie Chaplina

Drogi Panie Chaplin,

Mam nadzieję, że wybaczy mi Pan list otwarty: wysłany bowiem zwykłą drogą, powiększyłby jedynie piramidę przyjacielskich listów, jakie z pewnością czekają na Pana w Londynie. Listem tym witam Pana nie tylko jako największego artystę ekranu (jedynego człowieka, który sam pisze i reżyseruje swoje sztuki, w których sam występuje, i do których komponuje nawet muzykę), ale jako jednego z największych liberałów naszych czasów. Filmy Pańskie zawsze tchnęły współczuciem dla słabych i wydziedziczonych; zawsze godziły ostrzem satyry w tych, co się nad nimi znęcają. Ku naszemu żalowi i zdziwieniu osiedlił się Pan w Stanach Zjednoczonych, wyświadczając temu krajowi największy zaszczyt, jaki Pan mógł wyświadczyć; a teraz boli nas — ale nie dziwi — sposób w jaki Amerykanie okazują Mu swoją wdzięczność — oczywiście nie naród amerykański, ale władze, które jak się zdaje słuchają rozkazów takich ludzi jak McCarthy.

Gdy gościł mnie Pan wtedy u siebie w domu, zaproponowałem, by Charlie ukazał się raz jeszcze na ekranie. W tym wyimaginowanym filmie Charlie leży opuszczony i zapomniany na nowojorskim poddaszu. Nagle zostaje wywołany z mroku zapomnienia przed Komisję do Badań nad Działalnością Antyamerykańską w Waszyngtonie, by odpowiedzieć za swoją przeszłość — za podejrzaną scenę na ringu, za ślizgawkę, za to, że łysą głowę Senatora wziął za tort mrożony, za całe ukryte znaczenie tańca z bułkami. Członkowie Komisji z powagą oglądają wczesne filmy Charlie Chaplina, skrzętnie notując swe krytyczne uwagi.

Wyśmiał Pan mój pomysł, a ja również nie myślałem o tym, że punkt kulminacyjny jeszcze nie nastąpił. Wyreżyserował go Prokurator Generalny Stanów Zjednoczonych. Przy końcu przesłuchania Charlie z pewnością będzie mógł przyznać, że jest naprawdę anty - Amerykaninem, i okazać paszport obcokrajowca.

Grupa postaci hollywoodzkich, z których niektóre już powychodziły z mody (wśród nich pp. Louis B. Mayer i Adolf Menjou), utworzyła niedawno fundusz pomocy dla akcji McCarthy'ego w stanie Wisconsin. Ponieważ Hollywood wykorzystuje angielskie utwory i angielskich aktorów, chciałbym, by moi rodacy odmawiali sprzedaży swych sztuk lub uczestniczenia w filmie popieranym przez jakąkolwiek organizację, do której należą ci przyjaciele łowców czarownic. Nasza akcja będzie wyrazem tylko naszej opinii; nie skaże ona nikogo na bezrobocie i przymieranie głodem, na jakie McCarthy skazał niektórych ich kolegów. Mogą oni powiedzieć, że to nie jest nasza rzecz. Ale nieszczęście naszego sojusznika jest naszym nieszczęściem, i atakując Pana, łowcy czarownic wyraźnie potwierdzili, że ta sprawa dotyczy nie tylko jednego narodu. Nietolerancja w jednym kraju jest zamachem na wolność na całym świecie.

Z wyrazami podziwu

Graham Greene

Wg. „New Statesman and Nation" 27.IX.52.

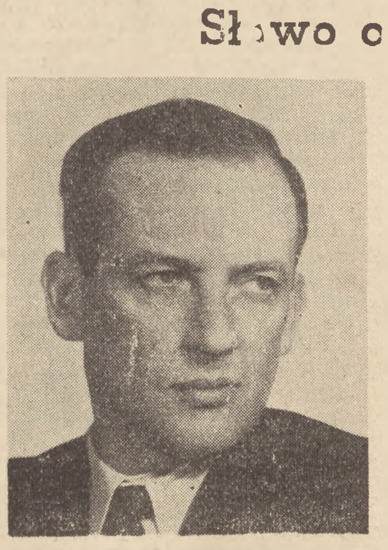
WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

REQUIEM ŻOŁNIERSKIE

Żołnierze Polski Ludowej, którzyście, zwarłszy szeregi,
Od skrytobójczej kuli wroga ciemnego polegli!
Z Warszawy, z wsi i miasteczek wiatr listopada przywiewa
Wasze imiona jak ziarna, których ulękła się plewa —
I Twoje imię, Bujnicki, z młodych Twych wierszy muzyką,
I Twoje, na posterunku zamordowany Martyko!
Że drogi Wasze były odważne, jasne i proste,
Zabił Was zaczajony, tchórzliwy i ciemny podstęp.
Gdy obłąkaniec — zacięty i nieprzytomny niszczyciel
Chce zgasić światło, tłucze zwierciadło z jego odbiciem,
Lecz światła przez to nie zgasi! Tak, choć najemnik krwawy
Zabije dzieci jej wierne, lecz nie zabije sprawy.
Wieje wiatr listopada, wiatr gniewny i surowy
I niesie Wasze imiona przez pola, lasy, dąbrowy —
I Twoje imię, sołtysie z małej zapadłej wioski,
Któryś poległ przeszyty ołowiem kuli winowskiej,
I Twoje, żołnierzu, imię, coś nie padł pod Lenino,
Aleś w kraju od ręki braci wyrodnych zginął,
I Twoje, młoda studentko, córko Partii Roboczej
Coś w oczy życiu patrzyła, gdy śmierć zajrzała Ci w oczy,
I Wasze, Wasze imiona, chłopi i robotnicy,
Zamordowani w polu, i w lesie, i na ulicy,
A my idziemy dalej, dalej walczymy z wrogiem,
Niosąc Wasze imiona, co rozświetlają nam drogę.

Dyskusja nad „Wrześniem”

Słowo od autora



Jerzy Putrament

W pierwszej części zagajenia) powiem parę słów o tym, jak ta książka powstawała, co było zamierzone przez autora, a w drugiej części powiem, jak sekretarz generalny Związku widzi w tej chwili ten utwór w świetle swoich własnych referatów.*

Niedługo po zakończeniu pierwszej redakcji „Rzeczywistości” w Szwajcarii zabrałem się do kolejnej powieści. Zacząłem pisać jakąś wspomnieniową, gimnazjalną powieść. Pisałem ją trochę więcej niż miesiąc i później ona mi się jakoś rozlazła. Rzuciłem ją.

Po ponownej redakcji „Rzeczywistości”, kiedy „Rzeczywistość” poszła do wydawnictwa, miałem dość luźny pomysł stworzenia dużego cyklu powieściowego, który by odzwierciedlał koniec okresu międzywojennego i wstrząs wojenny. Zdawałem sobie sprawę, że nie stać mnie na rozwiązanie tego tematu w jednej powieści: chciałem nawiązać do „Rzeczywistości” i stworzyć luźno ze sobą powiązane tomy bardzo szerokiego cyklu powieściowego. Technika łączenia tych tomów miała polegać na tym, że postać drugorzędna w jednej powieści miała wypływać na czoło w następnej.

W sierpniu 1946 roku zabrałem się do czegoś, co miało w jakiejś mierze być powiązane z „Rzeczywistością” poprzez drugorzędne postacie. Ponieważ poprzednią powieść wspomnieniową zaczynałem pisać od początku i ciągnąłem po kolei rozdział po rozdziale, powiedziałem sobie, że będę próbował pisać suitami tematycznymi. Zacząłem pisać w sierpniu 1946 roku.

W 47 roku spróbowałem innego tematu powieściowego. Tym razem ciągnąłem go bardziej uporczywie.

W 48 roku tę nową powieść doprowadziłem prawie do końca. Ale doszedłem do przekonania, że jest nie do druku, odłożyłem ją i dopiero po powrocie do Polski 1 grudnia 50 roku zabrałem się do „Września”.

Dociągnąłem do połowy drugiej części „Września” i utknąłem, zabrnąłem w ślepy zaułek. Zabrałem się na nowo od początku do pracy od pierwszego rozdziału. W maju i czerwcu ukończyłem pierwszą część w drugiej redakcji.

16 czerwca 51 roku wydawnictwo „Prasa Wojskowa” zaprosiło mnie na dyskusję z paroma poważnymi krytykami literackimi na temat pierwszej części „Września” i zreferowanego przeze mnie konspektu dalszej części. Dyskusja ta była bardzo ostra. Szczególnie bolesne było to, że zarzuty były słuszne, i dobrze trafiały w polityczne błędy zamierzonej powieści.

Od maja 51 roku powieść szła w odcinkach „Życia Warszawy”. To mi pomogło w okresie kryzysu psychicznego, po tej słusznej krytyce mojej książki, gdyż miałem przymus pisania dalszego ciągu powieści.

Wyjechałem do Chin i po przyjeździe pisałem przez półtora miesiąca wrażenia z Chin.

W końcu grudnia 51 roku zabrałem się do trzeciej redakcji pierwszej części. Przejrzałem drugą część. I wreszcie oddałem ją w lutym do wydawnictwa.

Mówiłem o tym tyle dlatego, że jest rzeczą moim zdaniem istotną przy ocenie książki rozróżnić jej rozmaite niejako warstwy. Pisałem ją w trzech właściwie rzutach, w Szwajcarii w 1950 i 1951 roku i później — po krytyce czerwcowej inaczej zupełnie ją traktowałem. Bardzo wyraźnie to się odbiło na stronie stylistycznej. Za każdym razem zabierając się do tej powieści miałem inną koncepcję stylistyczną, nie zawsze nawet może uświadomioną.

Co było zamiarem tej powieści? Oczywiście intencje autora były „na wyrost”: stworzenie jakiegoś dużego obrazu tragedii wrześniowej. Wydawało mi się, że tam jest właśnie materiał na tragedię. Bohaterem tej tragedii jest nasz naród. Nie miałem przy tym zawiązku fabularnego i to mi bardzo przeszkadzało. Miałem dość luźne suity tematyczne, szeregi obrazów, postacie, które mi się wydawały istotne dla całości. Pracując nad nimi później starałem się je powiązać.

Jak ja oceniam w tej chwili tę powieść? Nie jestem z niej zadowolony. Mówię to bez krygowania się. To jest opinia zupełnie szczera. Mam jej do zarzucenia trzy kategorie błędów.

Po pierwsze — uderzająca dysproporcja w traktowaniu poszczególnych kategorii postaci. Widać wyraźnie, że autor jest luźno związany z pewnymi kategoriami swoich bohaterów, że nie zna ich środowiska. Bardzo słabo zna środowisko robotnicze, ludowe. Chłopi w powieści tej są tacy, jakby byli oglądani przez autora z okien pociągu pośpiesznego. Jak zauważył jeden z krytyków, autor do części swoich bohaterów podchodzi jak do dzieci, usiłuje ich udziecinnić. Bardzo wyraźnie widać, że środowisko robotników dla autora jest zupełnie prawie nieznane.

Wreszcie kategoria działaczy rewolucyjnych. Autor wprawdzie usiłuje ich pokazać zwyczajnie, nie chce przypinać im koturnów, ale być może, że w tej manierze przeholowuje.

Kiedyś podczas dyskusji o schematyzmie w Związku Plastyków była mowa o tym, że pewien malarz sam czując płytkość, cukierkowatość takich postaci schematycznych starał się tak temu zaradzić, że tym bohaterom pozytywnym, powiedzmy, przodownicom powracającym ze żniw, dawał brzydkie twarze. Niewątpliwie coś takiego istnieje we „Wrześniu” w traktowaniu postaci bohaterów. Jest oczywiście duża dysproporcja między obrazem negatywnym „Września” i jego obrazem pozytywnym. Można by postawić tej książce zarzut ten sam, jaki postawiono w styczniu 1951 roku na plenum pod adresem powieści Brandysa, kiedy to referent zarzucał autorowi, że postacie burżuazyjne są w tej powieści oddawane z dużą pasją, podczas gdy bohaterowie pochodzący z ludu są postaciami bledszymi i wtedy usiłowano wynaleźć przyczyny takiego traktowania postaci. Niewątpliwie jest to słaba znajomość środowiska. Boję się, że ten niedostatek ciąży na wymowie politycznej „Września”.

Po drugie — autor nie bardzo umiał sobie poradzić z wielowątkowością powieści. W pierwszej części mamy parę wątków kryminalnych, jak losy karteczki z ordre de bataille armii „Prusy”. Wątek ten ginie w tajemniczych okolicznościach. Dalej — parę postaci niedopowiedzianych, np. Firstówny, która zachowuje się dwuznacznie, ale do końca powieści nie ma wytłumaczenia tego jej zachowania. Mamy zupełnie nie rozwiązany wątek pseudoszwajcarskiego bankiera. O co chodziło w tym skupywaniu akcji przemysłu szwajcarskiego — nie wiadomo. Wątek zawisł w powietrzu.

Niektóre postacie są wprowadzone w sposób właściwie nieumotywowany. Anna Zaleska zjawia się w powieści w dwóch albo trzech rozdziałach. Czy jest typowa? — raczej trudno byłoby to powiedzieć. Rezultatem tego jest zachwianie równowagi kompozycyjnej; powieść pozostawia wrażenie czegoś niewykończonego.

Wreszcie trzecia kategoria błędów — błędy stylistyczne. Właśnie to co autor powiedział na temat trzech epok pisania tej powieści — widać wyraźnie na stylu. W okresie pierwszym styl był bardzo prosty, wzorował się na powieści pozytywistycznej ubiegłego stulecia.

W drugim okresie, to znaczy po powrocie do tego tematu w Polsce, autor wpadł w jakąś manierę, w jakąś kaden - bandrowszczyznę. Autor zdaje sobie sprawę, że rzeczywiście ta maniera jest w niektórych rozdziałach nie do wytrzymania.

Wreszcie rozdziały pisane w trzecim okresie, kiedy autor z grubsza uświadomił sobie niebezpieczeństwo, usiłował wybrnąć z tej maniery. Czy mu się to udało? To nie było takie proste. Niewątpliwie rozdziały pisane pod koniec są mniej rażące pod tym względem, ale jednak, tak jak charakter człowieka przejawia się nawet w kaligrafii, tak samo jest i ze stylem.

Po wydaniu książki wydało mi się, że mógłbym jej pewne słabości naprawić i projektowaną trzecią część, gdzie znalazłoby rozwiązanie wiele napoczętych tematów, spróbować napisać. Jeżeli więc mam zabrać się do ponownej pracy nad „Wrześniem”, chciałbym wiedzieć co koledzy myślą, co należy tam zmienić.

Jerzy Putrament

*) Zamieszczone tutaj wypowiedzi są fragmentami z dyskusji nad „Wrześniem” Jerzego Putramenta przeprowadzonej na zebraniu sekcji prozy przy Warszawskim Oddziale ZLP w dn. 21.X. b.r.

„Bitwa o założeniu centralnym”

Rozważania moje zamierzam ograniczyć do sprawy zobrazowania pracy sztabu armii i wojska. Wydaje mi się, że sprawę tę Putrament rozegrał dobrze, a to właśnie dzięki temu, że — jeśli tak można powiedzieć — przyjął w powieści bitwę o założeniu centralnym. Weźmy np. scenę dyskusji trzech wyższych wojskowych przed mapą sztabową. Dalej kol. Putrament ukazuje poszczególne fragmenty tego co się dzieje w kraju, sprawę korpusu nad Wartą, przełamanie się, dowiadujemy się co się stało z zaginionymi pułkami, widzimy naszkicowaną bitwę pod Kutnem, ale przez cały czas wiemy, co się dzieje i gdzie indziej. Bo chociaż nie widzimy poszczególnych batalii, jednak wiemy, jak stały chorągiewki na mapie.

To wyjaśnienie od strony sztabu uważam za jedną z dużych i nieprzemijających zdobyczy kol. Putramenta. Nie możemy uskarżać się na brak książek traktujących o wojnie i wojnach, ale przeważnie jest to ukazywanie ich w małej skali, w skali dowódcy szwadronu; a przecież nie to jest najważniejsze, że Kmicic zabrał sanie Chowańskiemu, czy jadł na jego srebrze.

Kol. Putrament pokazał nam mechanizm mózgu działającego. Założeniem centralnym jest w jego książce praca sztabu, a nie heroiczna walka plutonów.

Jeśli chodzi o działanie mechanizmu klęski wrześniowej, jest u Putramenta jeden moment niedopowiedziany do końca, mianowicie sprawa rygla północnego — obrony na Narwi. Z tego, co autor przedstawił, wygląda na to, że kapitan Ślizowski grał pewną rolę w tej istotnej tragedii. Patrząc na mapę, każdy wyobrażał sobie, że rygiel północny jest pozycją kluczową. Tej pozycji mają bronić dwie dywizje, ale 6 września otrzymują nie wiadomo od kogo rozkaz inny. Z tego, jak to przedstawił kol. Putrament, wynika, że rozkaz ten wyszedł być może od zagadkowego indywiduum, od Ślizowskiego, o którym wiemy tylko tyle, że był w „dwójce”, a przedtem w Hiszpanii, że przesyłał meldunki o działalności lotnictwa i że cały czas sugeruje odsunięcie rygla na Warszawę, co zostaje przez Rąbicza potwierdzone. Nie możemy mieć pretensji do autora, że tej sprawy nie „zapiął na ostatni guzik”, bo nie jest ona wyświetlona i do dzisiejszego dnia nie wiemy, jak w rzeczywistości wyglądała. Znamy tylko fakt.

Paweł Jasienica

Oczami autora „Dni klęski”

Kol. Putrament mówił o samych „piegach na twarzy” i wszyscy skupili uwagę na drobiazgach, zamiast spojrzeć na całość książki. Ja będę mówił o tym, co stanowi trwały jej walor.

Jak to się stało, że książka, którą czytamy z taką pasją — jest jednocześnie książką, z którą podczas czytania dyskutujemy?

Wątek zasadniczy — katastrofa Państwa Polskiego znany jest wszystkim, jak również jej końcowy epilog. Zdawałoby się więc, że jest niepotrzebna. Tymczasem przez całą książkę czytelnik zastanawia się — a może były możliwości wyjścia? I tu kol. Putrament zrobił wielką rzecz — nie poszedł po linii publicystycznej. Pokazane w książce postacie z obozu sanacji są żywe, działają i w jakiś sposób nieuchronnie ściągają na siebie i na otoczenie katastrofę. Mnie interesuje akcja. Jest ona pełna, pokazana z pasją. To jest właśnie ta tragedia, ta nieuchronność losu ludzi, ale spleciona z działaniem politycznym, działaniem sztabu.

Mam wrażenie, że momenty liryczne tkwią nie we wschodach i zachodach słońca — jak to ktoś powiedział. Momenty liryczne tkwią w pasji wartościowania. Putrament cały czas dyskutuje z tymi zachodami i wschodami słońca, potępia albo afirmuje to, co widzi: nawet najprostsze zarejestrowane stany obiektywne oddaje tak, że dla niego nie są one obiektywne, są albo wrogie, albo podniosłe.

Książka ta jest pisana jakby w jakimś pośpiechu. Zasadniczo nie znoszę takiego sprintu, ale jest w tej książce jakaś pasja, która wymagała jakby na gwałt skrótu w podaniu tego wszystkiego przez autora.

Uważam, że zdolność pokazania tego wszystkiego tak, że każdy czytelnik przyjmuje z zaciekawieniem tę książkę, czyta ją i uzyskuje widzenie „września” poprzez indywidualność Putramenta, a jednocześnie skonkretyzowanie w fabule — to jest wielkie osiągnięcie tej książki.

Napisałem książkę, która do pewnego stopnia jest załącznikiem do książki kol. Putramenta. Moja książka jest drobnym wycinkiem działań frontu północnego, gdzie braliśmy rzeczywisty udział i kol. Jasienica, i ja. Widzieliśmy, jak to wyglądało na froncie, nie widzieliśmy natomiast zaplecza, sztabu. Widzieliśmy na sobie skutki katastrofy i cieszę się, że czytelnika, który będzie niezadowolony z mojej książki, gdyż nie pokazałem mechanizmu całości, będę mógł odesłać do książki kol. Putramenta.

Wojciech Żukrowski

Wiwisekcja zdrady

Czytając książki, które dziś wychodzą, zawsze zadaję sobie pytanie, w jakim stopniu książka ta stanie się wielkim dokumentem literackim. Pod tym względem książka Putramenta ma wielkie znaczenie.

Przeczytałem dwa rozdziały „Września” uczestnikom kursu buchalterów w Spale. Zainteresowanie było ogromne. Zacząłem analizować elementy tego zainteresowania.

W czasie dyskusji wypłynęła ciekawa sprawa. Jeden z dyskutantów zaczął porównywać obrazy powieści z enuncjacjami publicystycznymi, które pojawiały się przez pewien czas w pismach na temat roli i polityki Piłsudskiego. Uwydatniał, dlaczego obrazy powieściowe są bardziej przekonywające, dlaczego są bardziej prawdziwe. Pomijam tu zasadniczą różnicę między publicystyką a obrazem literackim. Dlatego że we wszystkich enuncjacjach publicystycznych było zbyt gwałtowne przejście od aury otaczającej indywidualność Piłsudskiego, od aury, która utrzymywała się jeszcze długo — (gdyż następcy Piłsudskiego byli indywidualnościami znacznie mniejszego kalibru, a sam Piłsudski umarł, nim historia ukazała skutki jego polityki) — do oceny jego istotnej roli. Dyskusja wyjaśniła mi zasadniczą wartość obrazu sanacji w tej książce.

Wszyscy ludzie sanacji przedstawieni w powieści — to postacie kluczowe, czy bezpośrednio nazwani po nazwisku, jak Beck, czy też pewne postacie syntetyczne jak Burda. Są one bardzo przekonujące dlatego, że nawiązują do tych cech osobistych, które zostały przekazane w pewnej tradycji ustnej. Mówiło się na ogół, że Rydz jest głupi. To właśnie zostało w migawkowym obrazie pokazane, podkreślone w zestawieniu z całym mechanizmem politycznym. Beck występuje nie tylko jako agent obcego państwa, ale jako polityk, mąż stanu, którego koncepcja, wroga narodowi, zawala się, powoduje jego klęskę osobistą.

Dalej — drobny szczegół, jeżeli chodzi o samą fabułę. Wydaje mi się, że bardzo istotnym momentem fabuły jest sprawa zdrady, sprawa rozkazu odwrotu spod Rożanu. Czy powinna być tu postawiona kropka nad i, czy nie? Wydaje mi się, że raczej mają rację ci koledzy, którzy mówią, że nie, jednak epizod ten należałoby wzmocnić, podrysować. Ponieważ fabuła powieści jest krwista, pisana z pasją — na jej tle sama ta decydująca intryga wypada dość blado.

Dalej — niepokoją mnie takie drobne rzeczy, jak zagęszczenie związków osobistych. Więc ten naczelnik, który jest przy kopaniu rowów, wypływa potem w „Bengalu”; Zaleska jest siostrzenicą Knothego itd. Nie widzę uzasadnionej potrzeby tych związków w książce; ich mechaniczność razi czytelnika.

Czy słusznie została przedstawiona armia polska? Wydaje mi się, że wysunięty tu zarzut fałszywego przedstawienia armii jest niesłuszny. Występuję jako bezpośredni świadek wojny wrześniowej. Istotnym momentem tej wojny, momentem wysuwającym się na czoło wśród tego bałaganu, jaki wtedy istniał, było bohaterstwo prostego żołnierza, oficera rezerwy. I to, moim zdaniem, zostało w powieści pokazane.

Marian Brandys

Polityka i ludzie

Nieraz przy lekturze nowej książki doświadcza się uczucia, że książka ta jest wyrazem osobistych doświadczeń pisarza, że na jej fabułę złożyły się i przeżycia autora. Innym razem narzuca się przeświadczenie, iż autor, przyjąwszy pewną koncepcję polityczną, czy historyczno-społeczną, rozpisuje ją na wątki, stara się ją zilustrować powstałymi wskutek procesu intelektualnego postaciami, akcją, atmosferą.

Książkę Putramenta zaliczyłbym do tej drugiej kategorii. Autor „Września” przedstawiane zjawiska polityczno-społeczne ogląda jakby z lotu ptaka. Putrament jest z temperamentu przede wszystkim politykiem, polityka najbardziej go pasjonuje, absorbują go przede wszystkim koncepcje polityczne. Z postawy tej wypływają zalety „Września”, wypływają też i wady.

Przede wszystkim ucierpieli ludzie „Września”. Chwalono tu niektóre postacie. Miałbym jednak do tych postaci sporo pretensji. Są one ciekawe w statycznej części swego życia, w tych partiach książki, kiedy Putrament nam ich przedstawia opowiadając życiorysy. Natomiast gdy wchodzą na scenę i poczynają działać, bardzo się do siebie upodobniają. Podobieństwo to wynika, między innymi, z jednakowego stosunku autora do swych pupilów. Drażnią te postacie Putramenta, albo, właściwiej, Putrament je drażni potrącając je z gniewem, aby służyły założonej koncepcji. Oczywiście nie odnosi się to do pozytywnych bohaterów powieści, tych przedzierających się z więzienia do Warszawy. Dla nich żywi autor wiele szacunku.

Jak już rzekłem, ludzi „Września” powołała do istnienia koncepcja polityczna autora. Stąd więc zapewne wynika ich niedokrwistość. Można się domyślić, że autor nie spotykał ich w życiu, nie poznał ich w najintymniejszej znajomości, że nie wracają mu we wspomnieniach w pełnym rysunku.

Koncepcjonalność zamysłu literackiego przemyciła do powieści reminiscencje jakichś symbolów ideologicznych, które mają już swoją historię. Mam na myśli chociażby ową scenę z lokalu nocnego, w którym trzej młodzi oficerowie wiodą „jeszcze jednego mazura dzisiaj”. Scena ta przypomina taniec chochoła z „Wesela”, przypomina po trosze i polonez z „Popiołu i diamentu” Andrzejewskiego. Dalej ów epizod z zabiciem Jasia — pastuszka, który w pewnych swoich rysach przypomina prusowskiego Antka, a ma świadczyć o okrucieństwie wojny wkraczającej do polskiej wsi.

Tadeusz Konwicki

Sprawa epiki

Chcę zająć się dwiema sprawami, które wydają mi się warte dyskusji, mianowicie sprawą ściśle kompozycyjnej konstrukcji powieściowej i sprawą typu narracji.

Jakie zarzuty należy moim zdaniem postawić kompozycji książki? Brak rozlewności epickiej, brak spokoju, brak dystansu i wykończenia wątków, namiętną, nerwową strukturę narracji. Ale jest jeszcze moment istotniejszy, tkwiący w założeniu tematycznym: zobrazowanie losów narodu w przełomowym momencie, gdy rozkłada się dawna forma jego istnienia i świtają nowe elementy, które będą kształtowały losy narodu w następnej epoce.

Konstrukcja epicka Putramenta ma swoisty charakter. Wydaje mi się, że epicki bohater książki, jakim jest naród, jednolita grupa społeczna — w tradycyjnym eposie miał charakter jednolity. To było zbiorowisko, a poszczególni ludzie byli jego wariantami. Książka Putramenta jako zasadę wyjściową przyjęła zasadę dezintegracji narodu. To jest konieczny skutek przyjęcia marksistowskiej wiedzy o rzeczywistości społecznej, wyjścia z tego założenia, że naród nie jest całością jednolitą, lecz grupą rozdzieraną wewnętrznymi antagonizmami. Mam jednak wrażenie, że moment dezintegracji został podniesiony do zbyt wysokiej potęgi.

Jeżelibym porównywała tę książkę z książkami radzieckimi o oddechu epickim, to porównałabym ją z „Cichym Donem” i z „Drogą przez mękę”. Chociaż napięcie konfliktów wewnętrznych w narodzie rosyjskim w okresie rewolucji nie jest mniejsze niż u nas w okresie września, to tam jest więcej elementów stałości, więcej elementów organizujących narrację, jest więcej skupienia uwagi na pewnej określonej grupie postaci, więcej troski o odnalezienie jej roli i miejsca w narodzie.

W powieści Putramenta mamy większe rozstrzelenie konstrukcji powieściowej, równouprawnienie wątków, które jest pozorne, bo z konieczności powoduje cofnięcie sprawy komunistów na plan dalszy. Bardziej zachłanne wątki, związane z obnażeniem sanacji, są lepiej opracowane, są bardziej odkrywcze i świeże, mają więcej dynamiki.

Maria Żmigrodzka

Odpowiedź autora

Brak rozwiązania wątku szpiegowskiego co mi zarzucano w dyskusji — jest brakiem istotnym. Tu muszę zdradzić sekret: to miało być w trzeciej części, zamykającej.

Kwestia Rożanu była bardzo skomplikowana. Wiemy, że w ciągu jednego dnia — zreferowałem to z absolutną dokładnością, tak jak w książkach wojskowych o kampanii wrześniowej — z dowództwa naczelnego przyszły trzy sprzeczne rozkazy związane z 33 i 41 Dywizją. Pierwszy rozkaz nakazywał atakować drobne oddziały kawalerii niemieckiej, które przesączyły się przez Narew, drugi rozkaz — cofnąć się na Bug, na Brok i Wyszków. Trzeci rozkaz, gdy te dwie dywizje zaczęły odwrót i były zaskoczone, z powrotem atakować i obsadzać Narew.

Żadna z książek wojskowych o wrześniu nie dała wyjaśnienia, dlaczego wydano te rozkazy. Pozostało mi suponować, że to była rola Ślizowskiego. To był płatny agent wywiadu hitlerowskiego. Czy byli tacy? Byli. Rola ich nie polegała na ukrywaniu siły niemieckiej. Wszystkie książki są zgodne w tym, że dowództwo polskie było znakomicie poinformowane o ilości wojsk niemieckich, miało informacje ze wszystkimi szczegółami. Te wiadomości leżały u Rydza na biurku i to nadaje specjalny wydźwięk, specjalny sens przebiegowi operacji ze strony naczelnego dowództwa.

Rola Ślizowskiego polegała na tym, że z jednej strony dokładnie informował o Niemcach, żeby zdobyć zaufanie, a z drugiej strony wyciągał wiadomości od strony polskiej, żeby przekazywać je Niemcom. Podając alarmujące wiadomości o siłach niemieckich, paraliżował ośrodek mózgowy dowództwa. Jest tragiczne, że nie wyjaśniono historii trzech sprzecznych rozkazów, ale trudno było przejść nad tym do porządku dziennego, nie pisać o tej machinacji.

Wydaje mi się, że kol. Konwicki ma rację i jeżeli przetłumaczyć to co mówił na język brutalny, to są autorzy, którzy piszą powieści mając wątek fabularny czy z własnych przeżyć, czy wymyślony. Inni mają koncepcje tematyczne i dorabiają wątki fabularne. Wydaje mi się, że ma rację, zaliczam się do tej drugiej grupy.

Wszystkie trudności i słabości związane z tą koncepcją są widoczne, stąd niektóre postacie zapadają w próżnię.

Zarzut, że postaci komunistów są znacznie słabsze, jest słuszny.

W pierwszej wersji, pisanej w Szwajcarii, wprowadziłem dyskusje polityczne komunistów, lecz były one tak długie, że odrzuciłem ten wątek. Potem zrozumiałem, że przedstawieni we „Wrześniu” komuniści nie mają przed sobą szerokiej perspektywy. Są zajęci drobnymi sprawami w swym marszu do Warszawy.

Było moim zamiarem wykazanie, że ideologia komunistyczna nie daje gwarancji, iż ten, kto ją wyznaje, jest mądry i szlachetny, że natomiast przy osobistej małości, dzięki tej ideologii, człowiek zaczyna rosnąć i dlatego ten dyskutujący, pętający się pod nogami Krygier, kiedy włącza się do walki, nagle staje się bohaterem. Dlaczego? Dlatego że jego ideologia podniosła go do góry.

Dwie z tych postaci — Kalwe i Sosnowski — dałem takie nazwiska, żeby zbyt łatwo nie można było odszyfrować prototypów — były przeznaczone do końcowych scen i najgorsza rzecz, że nie wiedziałem, co mam z nimi zrobić. Teraz trzeba dla nich znaleźć dalszą drogę.

Jednym z założeń formalnych autora była dążność do założeń fabularnych, które byłyby tak typowe, że aż symboliczne, żeby jedną sytuacją fabularną można było ukazać największy ładunek. Nie zawsze to uzyskiwałem. Czasem dochodziłem do groteski. W pierwszej scenie — kopania rowów, przy czym ważne, że to się filmuje — chodziło o tę pokazowość rzeczy robionych przez sanację. To samo z erkaemem, ofiarowanym przez społeczeństwo. Następnie pierwsza scena drugiej części — atak czołgów, scena która miała symbolizować stosunek obu sił. Zakończenie wątku Friedeberga, postać Friedeberga, postać najbardziej „sienkiewiczowska” w swoim zachowaniu, w swoim losie. Scena w Zaborzu miała symbolizować losy drobnomieszczaństwa pod okupacją. Okupacja uzupełnia rozwój polskiej burżuazji. Dopiero Hitler ten rozwój umożliwił. Burżuazja była zawsze cherlawa, niedorozwinięta, bezwartościowa. Dopiero gdy hitlerowcy wyrżnęli Żydów, burżuazja uzyskała nagle pełnię działania. Konsekwentnie nie umiałem jednak tego wątku przeprowadzić do końca.

Kol. Żmigrodzka zrobiła mi dużo zaszczytu, zestawiając moją książkę z „Drogą przez mękę” i „Cichym Donem”. Ja chciałbym tylko wyrazić jedną uwagę: wojna domowa trwała tam ile lat? Akcja „Cichego Donu” trwała ile lat? Trzy, dziesięć: A tymczasem tu mieliśmy do czynienia z kataklizmem, który trwał kilka tygodni — od 21 sierpnia do 5 września. Jak Wy chcecie, żeby w tym okresie ukazać coś więcej niż ten chaos, tę dezintegrację. Mam wrażenie, że to byłoby trudne. I wtedy można by mnie oskarżyć o schematyzm. Przypomnę, jaka była sytuacja. Partia komunistyczna wtedy formalnie nie istniała. To znaczy w momencie wybuchu wojny ta decydująca siła, która mogłaby ratować, była w pewnej mierze sparaliżowana. I tu przykład niedołężnego symbolizmu: ta sytuacja była do pewnego stopnia pokazana w losie Krawczyka, który uzyskuje możliwości działania w momencie, gdy to śmiertelne niebezpieczeństwo znalazło się pod jego oknem.

Teraz przechodzę do punktu, który poruszył kol. Brandys i inni koledzy — do sprawy bohaterstwa prostego żołnierza.

Z tymi zarzutami w zasadzie nie zgadzam się, to znaczy zarzuty przyjmuję, gdyż trudno autorowi nie przyjąć zarzutów stawianych pod adresem jego dzieła. Już po napisaniu uświadomiłem sobie, że w tej książce brak Westerplatte...

(Głos: I Modlina i poczty gdańskiej) ...i spalenia pociągu pancernego, który pojechał na Chojnice, ale ja to zrobiłem świadomie. Tu chodziło mi o pewien akcent historiozoficzny. Mamy za dużo oderwanych bohaterskich fragmentów i przysłaniania straszliwej prawdy klęski wrześniowej tymi nic nie znaczącymi epizodami indywidualnego bohaterstwa. Przy pomocy Westerplatte próbowano obronić reżim sanacyjny. Tych 170 żołnierzy swoim bohaterstwem miało usprawiedliwić sanację. Jaką rolę te epizody spełniały podczas kampanii, jaką rolę w rozwoju kampanii te epizody odegrały? Przypomnijmy sobie tuszowanie raidu czołgów hitlerowskich na Piotrków i Warszawę bohaterstwem ludzi z Westerplatte.

Bohaterstwo prostego żołnierza wykazałem w dziejach kompanii Markiewicza. Ukazałem jedną scenę, która jest wzorowana na wycięciu korpusu pancernego pod Gródkiem Jagiellońskim. Tam naciskane oddziały 11 dywizji, cofające się na Lwów, wpadły na oddziały całego korpusu zmotoryzowanego i spaliły cały sprzęt tego korpusu. Ukazałem bohaterstwo żołnierza, pisząc o przedzieraniu się rozbitych pod Kutnem oddziałów przez Kampinos na Warszawę.

Nie przekonaliście mnie, że nie miałem racji, pomijając te epizody. Że nie ma bitwy pod Kutnem, to jest w pewnej mierze to samo. Tu znowu bardzo przykro powiedzieć, ale w naszej okropnej martyrologii narodowej bitwa pod Kutnem była nonsensem. Było już za późno. Gdyby armia Poznań atakowała armię Blaskowitza, nacierającą na Łódź, na skrzydło pod Nadarzynem drugiego, trzeciego, czwartego, piątego września, może miałoby to jakiś sens, ale do tego czasu nie pozwolono jej ruszyć.

Teraz chciałbym podziękować kol. Wasilewskiemu, który podniósł istotną rzecz. Uważam, że nie można mówić o klęsce wrześniowej bez ukazania dnia 17 września i chcę to fabularne zadanie rozwiązać w trzeciej części.

Jerzy Putrament

TADEUSZ RÓŻEWICZ

OPOWIADANIA WĘGIERSKIE

Godzina języka węgierskiego

Moja nauczycielka języka węgierskiego, dr phil. Anna G., mieszka na Kertesz-ut. Ulica ta pozbawiona jest drzew i zieleńców, asfalt jezdni i betonowe płyty chodników okrywają tu szczelnie ziemię. Ani źdźbło trawy, ani łodyżka rośliny nie potrafiły się przebić do słońca przez ten pancerz. Bezbarwne kamienice tworzą dwie ściany kamiennego wąwozu; w dole stoi ciężkie, rozgrzane powietrze, w górze niebo, po którym płyną zmącone dymami obłoki. Trzy razy w tygodniu przechodzę wzdłuż tych domów. Punktualnie o dziewiątej dzwonię do drzwi, które otwiera mi „Néni Anna" — Ciocia Anna. Tak nazywają Annę G. jej uczniowie i uczennice. Mówię po węgiersku „dzień dobry" i mój zły akcent wywołuje życzliwy uśmiech na jej drobnej twarzy. Patrzy na mnie wielkimi błyszczącymi oczami krótkowidza i przygładza ręką siwe włosy.

Néni Anna ma cały dzień wypełniony lekcjami. Uczy języka niemieckiego, angielskiego, francuskiego. Uczniami jej są często starsi ludzie, robotnicy i chłopi, którzy piastują teraz wysokie stanowiska w różnych ministerstwach i dyrekcjach. Néni Anna chwali tych uczniów. Mówi, że są to uczniowie pracowici, punktualni, zdolni i grzeczni. Néni Anna uczy także języka węgierskiego tych, którzy przyjechali do Budapesztu, aby poznać życie nowych Węgier.

Néni Anna nie tylko daje lekcje, ale i uczy się sama. Od kilku tygodni bierze lekcje języka rosyjskiego. Któregoś dnia pokazała mi szkolny, poliniowany kajet. Były tam wypisane starannie rosyjskie słówka i krótkie, dziecinne zdania: „Papa doma, mama doma..." Na dalszych stronicach słówek było więcej i zdania były dłuższe: „Ja żywu doma s atcom i matierju. Kromie mienia ani imiejut jeszczo dietiej. Eto maji bratja i sjestry. Raditieli i dieti sastawlajut sjemiu... Skoro w szkołu dieti". Dr phil. Anna G... przeczytała głośno: „Skoro w szkołu, dieti" i spojrzała na mnie pytająco, czy akcent był dobry?

— Za cztery miesiące sama zacznę uczyć rosyjskiego — powiedziała — trzeba się pilnie zabrać do roboty...

Siedzę w małym pokoiku i czekam na nauczycielkę. Rozmawia teraz z listonoszem, który przyniósł pocztę. W małym pokoiku stoją dwa krzesła, okrągły stoliczek, fotel okryty szarym płóciennym pokrowcem i tapczan. Nad tapczanem wisi portret kobiety.

Światło słoneczne przesłane przez firanki napełnia pokoik i rozjaśnia portret. Z ciemnego tła wyłania się pełna twarz; przez złotawą skórę przenika mgła rumieńca. Wielkie, niebieskie oczy, usta czerwone, szerokie, z wargami jakby lekko napuchniętymi, nad niskim, bladym czołem grzywa miedzianych włosów. Przyglądam się tej młodej twarzy, na której życie malowało się tak jasnymi i czystymi barwami, że nawet nieudolna ręka malarza - amatora nie potrafiła ich zmącić. Otwierają się drzwi i wchodzi Néni Anna, kładzie zegarek na stoliku i siada. Za chwilę oddam jej zeszyt z wyuczonymi słówkami i ćwiczeniami domowymi. Potem „własnymi słowami" opowiem, co wczoraj robiłem i co widziałem na ulicy. Później będziemy czytali nową bajkę z kolorowej książki z obrazkami albo poważny artykuł wstępny z dzisiejszego dziennika, wynotujemy nowe słówka. Spoglądam jeszcze raz na portret młodej kobiety i podaję zeszyt. Poprawiam się na krześle. Przymykam oczy i czekam na pytanie. Pamięć podaje mi usłużnie, jedno za drugim, wyuczone wczoraj słówka: „Kiálta = der Schrei = krzyk, szárny = der Flügel = skrzydło; füst = der Rauch = dym..." każde słówko powtarzam w trzech językach. (Moja nauczycielka nie zna ani jednego polskiego słowa, a ja nie znałem ani jednego słowa węgierskiego, kiedy zapukałem do jej drzwi. Język niemiecki jest pomostem, który pozwala nam się porozumieć). Usłużna pamięć dyktuje dalej: „Fecske = die Schwalbe = jaskółka; patak = der Bach = potok; kiáltás = der Schrei = krzyk...".

Jest cicho, nie słyszę głosu nauczycielki. Otwieram oczy. Widzę ją. Siedzi przy stoliku, a jej małe, białe dłonie z suchymi palcami spoczywają na zamkniętym zeszycie. Przez grube szkła patrzy na portret młodej kobiety. Néni Anna porusza ustami, ale dopiero po chwili słyszę co mówi:

— To moja najmłodsza siostra... — Potem pada jeszcze jedno słowo — Auschwitz.

Néni Anna opowiada mi teraz po niemiecku o tym, jak zginęła jej siostra i jak zginęła jej cała rodzina. Rodzice, bracia, siostry, mąż... Cudem ocalała tylko jej jedna córka, która się ukrywała. Ta najmłodsza siostra została aresztowana w jesieni 1944 roku, kiedy akcja ogarnęła Budapeszt. Wyciągnęli ją z tramwaju żandarmi Horthy'ego. Ogółem wywieziono z Węgier około pół miliona Żydów. Néni Anna milknie.

Auschwitz. Oświęcim. Byłem tam i widziałem. Byłem w roku 1949. Byłem w Państwowym Muzeum w Oświęcimiu. Żeby przekroczyć bramę z napisem „Arbeit macht frei", wykupiłem w kasie bilet wstępu. Potem oprowadzany przez przewodnika, byłego więźnia, zwiedziłem Muzeum. Opowiadałem teraz o tym Néni Annie. Opisywałem kolejno budynki i sale, w których leżą rzeczy po zamordowanych. Opowiadałem o górach szczotek, garnuszków, puderniczek, pędzli do golenia. O stertach waliz, na których wypisane są kredą imiona i nazwiska, miasta i ulice, daty urodzenia i liczby oznaczające kolejny transport. Mówię o wielkich skrzyniach napełnionych butwiejącymi butami, wśród których leżą małe dziecinne pantofelki. Opisuję ogromny kłąb włosów, który jest pozostałością setek kilogramów włosów kobiecych, jakie wysyłano z Oświęcimia do pewnej fabryki w Bawarii, jako surowiec. Opowiadam jeszcze o tym, że w jednej z wycieczek, która przybyła dla obejrzenia muzeum Oświęcimskiego z „tamtej strony oceanu", znalazła się kobieta, która wyraziła wobec przewodnika swoje rozczarowanie z powodu małej atrakcyjności eksponatów, małej ich ilości i nieefektownego urządzenia muzeum. Była przygotowana na bardziej atrakcyjne i wstrząsające przeżycia. Niestety nie można było zadowolić wymagań owej turystki, mało pozostało w Oświęcimiu po zamordowanych. Pozostały resztki bezwartościowych przedmiotów, resztki zmagazynowanych włosów i nędznej odzieży, bloki mieszkalne, kuchnie i magazyny, ściana śmierci i basen pływacki, małe krematorium i miejsce wieszań... Wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość materialną, wysyłano z Oświęcimia w głąb Rzeszy; było to objęte „Akcją Reinhardta". „Po każdej większej akcji pakowano przedmioty wartościowe i pieniądze w kufry i przewożono autami ciężarowymi do Głównego Urzędu Gospodarki i Administracji SS w Berlinie, a stamtąd do Banku Rzeszy. W Banku Rzeszy był specjalny Oddział zajmujący się tylko przedmiotami uzyskanymi z akcji przeciwżydowskich. Kosztowności i dewizy sprzedawano w Szwajcarii. Zwykłe zegarki wysyłano tysiącami dla oddziałów armii. Złote zęby przetapiali w rewirze SS lekarze-dentyści w sztaby i odsyłali je co miesiąc do Głównego Urzędu Sanitarnego. Obcięte włosy kobiece wysyłano do fabryk. Dużą część odzieży przekazywano niemieckiej opiece społecznej. Nie nadającą się do użytku odzież odsyłano do przeróbki, a obuwie nie nadające się do noszenia rozkawałkowywano przeznaczając pewne części do użytku, resztę zaś przerabiano na mączkę skórzaną. Popioły wywożono samochodami ciężarowymi nad Wisłę, tam wrzucano łopatami do wody. Natychmiast odpływały i rozpuszczały się"...

Milczymy oboje. Po dłuższej chwili Néni Anna spogląda na zegarek. Jeszcze piętnaście minut brakuje do końca godziny, ale nie kończymy jej.

— Na czwartek powtórzenie — mówi Néni Anna — potem podaje mi rękę. Żegnamy się dzisiaj bez zwykłych przyjaznych uśmiechów. Zamykam drzwi i słyszę wolne kroki odchodzącej w głąb korytarza kobiety.

Luneta dyplomaty

Jest luty, jest zimno, jest mgła. Idę ulicą Beli Bartoka. Zatrzymuję się obok oszklonej budki, która promieniuje ciepłym zapachem prażonej kukurydzy i palonej bani. Śniegu w tym roku było skąpo. W styczniu sypnęła może dwa razy szara kaszka z nieba i wsiąkła w jezdnie, ubrania przechodniów i mroczną wodę Dunaju. Nawet szybkie jak błyskawice ręce chłopców nie zdążyły ulepić porządnej kuli z tego znikliwego widma śniegu. Patrzę przez szybkę, jak w zmyślnej maszynce podskakują złociste ziarna kukurydzy, pękają i zamieniają się w białe pulchne kwiatuszki. Kupuję torebkę ciepłej kukurydzy i idę dalej, w stronę Dunaju. Nad Dunajem stoi mgła. Z głębi ulicy jak z gardzieli napełnionej parą wypadają dzwoniąc żółte tramwaje i autobusy koloru modraka. W mlecznym obłoku majaczą ciemne wieżyczki mostu Wolności, na których siedzą cienie metalowych ptaków. Drugiego brzegu Dunaju i Pesztu nie widać. Mgła.

Jestem wreszcie pod hotelem Gellerta. Mijam wypalone w czasie oblężenia Budapesztu skrzydło hotelu i przez hall przechodzę do tej części ogromnego budynku, gdzie mieszczą się kąpiele lecznicze, gabinety lekarskie, sanatorium i kryty basen. Bo „Gellert" to nie tylko sławny hotel, ale jeszcze sławniejsze źródła lecznicze „Gellert Gyogyfürdo". Nie korzystam jednak z „Inhalatorium" ani z „Diathermia, Quarz, Sollux, Pneumatikus kamra, Belfürdo, Orvosi massage" itp. Co mi tam masaże, sole, błota — jestem zdrowy i pędzę prosto na basen, żeby godzinkę popływać.

Pod szklanym dachem ciepło jest jak w kwiaciarni. Po szybie wody posuwa się wielka łysa głowa, różowa kula w okularach. No, tak. Ksiądz znów mnie wyprzedził, zawsze jest pierwszy na basenie. Znamy się z widzenia. Rano widzę go czasem z mojego okna, idzie szybkim krokiem w stronę kaplicy, która stoi gdzieś na końcu uliczki „Bardzo Szczęśliwej Pani". Ksiądz chodzi w czarnym kapeluszu, w czarnej wyrudziałej na słońcu pelerynie, spod krótkiej sutanny zwieszają się dwie okrągłe nogawki spodni, żółte półbuty człapią śmiesznie, jak płaskie łapy kaczora. Spotykam go na ulicy jak zatrzymuje się i rozmawia z młodymi matkami, gładzi główki dzieci, grozi im palcem i uśmiecha się.

Właśnie teraz podpływa ksiądz w moją stronę i przez błękitnawą wodę widać, jak ruchami żaby posuwa do przodu swoje białoróżowe, tłuste ciało. Pewno już więcej niż godzinę siedzi w wodzie, bo jego twarz zabarwia się na fiołkowo...

Z ośmiu zielonych, lwich paszcz tryskają bez przerwy do basenu strumienie ciepłej wody. Odpływ i dopływ wody jest tu ciągły. Gwarno robi się u „Gellerta" dopiero po południu, ale i przed południem obok statecznych ciał matek i ojców pluskają się dzieci, w czystym lustrze wody migają smukłe, rybio zwinne sylwetki młodzieńców, igrają dziewczęta w barwnych kostiumach, czerwonych, niebieskich i białych czepkach. W fotelach, na kamiennych ogrzewanych ławach leżą ludzie. Czytają książki, przeglądają ilustracje, jedzą solone precle, patrzą na piękne ciała albo na szklany dach, przez który wlewa się łagodne światło i przenika wodę w basenie aż do zielonych i żółtych kafelków, którymi wyłożone jest dno. W pomieszczeniach i kabinach obok basenu szumią prysznice, pracują masażyści i manicurzyści, szatniarze wydają ubrania...

Leżę na kamiennej, ciepłej jak żywe stworzenie ławie i przeglądam stary zeszyt „Biuletynu Węgierskiego".

Czytam, i po chwili śmieję się serdecznie. Czytam odpowiedź, jakiej udzielił na łamach prasy węgierskiej Józef Révai angielskiemu ministrowi Edenowi. Eden bawił niedawno we Wiedniu i ogłosił w gazecie „Daily Mail" swoje wrażenia z tej podróży i opis... Budapesztu. „Wiadomości z Budapesztu — pisał Eden — należą do najbardziej ponurych rzeczy, jakie kiedykolwiek słyszałem. Ludzie chodzą tu z opuszczonymi głowami i są niemi. Na ulicach nie widać uśmiechniętych twarzy, nie słychać śmiechu ani rozmów. Poważni, jakby przestraszeni, przechodnie śpieszą tu i tam..." Pan Eden — pisze Józef Révai — rozporządza zapewne niezwykłą lunetą, przez którą może nie tylko oglądać Budapeszt z Wiednia, ale może też stwierdzić, że w Budapeszcie wszyscy ludzie chodzą ze zwieszonymi głowami, oniemiali i przestraszeni pędzą po ulicach tu i tam. Cóż możemy odpowiedzieć na głupotę pana Edena? — zadaje Révai retoryczne pytanie i wreszcie nazywa angielskiego męża stanu starą babą plotkarką.

Tymczasem ksiądz miał już dość kąpieli, wyszedł z wody i podobny do różowego olbrzymiego noworodka potoczył się w stronę szatni. Sześciu chłopców jeden za drugim skaczą do wody, na głowę, na nogi, na brzuch. Niektórzy pokazują bardziej skomplikowane sztuki. Trzymają lewą ręką duży palec prawej nogi, a prawą ręką duży palec lewej nogi i z radosnym okrzykiem spadają do basenu wzbijając klaszczące fontanny wody.

Podkładam sobie stary biuletyn pod głowę, zamykam oczy i czuję się, jakbym siedział w szumiącej, ogromnej muszli.

Tadeusz Różewicz

Podróż w lata sześćdziesiąte

Dokończenie ze str. 1-ej

łup niewiele Gdzieniegdzie sterczy nad ziemią wieżyczka wiertnicza. Trzeba tu, wzdłuż Bugu, wykonać 1500 wierceń geologicznych, do dziś wykonano już 600.

Meliorant postawił kołnierz płaszcza.

— Wyobraźmy sobie — mówi — że zbiorniki są już wypełnione wodą. Woda rozleje się szeroko, nie wszędzie będzie należyta głębokość. W niektórych miejscach ciągnęłaby się kilometrami parucentymetrowa płycizna. Jednym słowem bagnisko, wylęgarnia komarów grypa, angina i inny tyfus. Co z tym fantem zrobić?

I patrzy na nas okrągłymi oczami, ruszając pośpiesznie czarnym wąsikiem, rad z zaskoczenia.

— Ściśniemy zbiornik wałami — wyjaśnia po chwili — i uzyskamy dzięki temu odpowiednią głębokość na obszarze całego jeziora.

Inżynier od budowli wodnych głosem niedbałym, jakby trochę przez nos, opowiada nam swoje:

— Przy każdej zaporze powstanie niewielkie miasteczko, w którym mieszkać będzie obsługa elektrowni i śluz. Do przyszłego roku osiedla te wybudujemy w stanie surowym.. Nim zajmą je załogi eksploatacyjne, najpierw my, budowniczowie, pomieszkamy. W przyszłym też roku machniemy 75 km nowych linii kolejowych i 40 km dróg. Zagospodarujemy place budowy. Nadejdzie sprzęt regulacyjny z ZSRR, między innymi 20 refulerów, specjalnych pogłębiarek...

Koło Grannego nie możemy się oprzeć pokusie. Wchodzimy do lasu na grzyby. Największą namiętność do tej zabawy wykazuje inżynier budowlany. Wydobył z teczki piżamę i ładuje w nią wielkie, jędrne rydze. Przez cały czas naszej z nim znajomości drapował się w powagę człowieka, który niczym się zbytnio nie przejmuje któremu mało co może zaimponować.

— A ja to lubię tak w ogródku pogrzebać — mówi myszkując pod sosenkami. — Mam w Warszawie swój, działkowy. Posadziliśmy w tym roku z żoną...

Należy jeszcze wspomnieć, że kiedy wyszliśmy z lasu i ruszyliśmy szeroką drogą, inżynier od budowli wodnych, dzierżąc przed sobą zawiniątko z grzybami, rzekł nieoczekiwanie:

— Idziemy starym traktem wybudowanym przez Napoleona Jesteśmy na dnie Jeziora Granne.

ROZMYŚLANIA O DRUCIE KOLCZASTYM

Gdy wróciliśmy z powrotem na nasz statek, który pamięta jeszcze karnawał 1900 roku, zasiadłem nad mapą, aby umocnić w pamięci szlak naszej dziennej wędrówki.

Znam te ziemie nadbużańskie z roku 1951. Objeździłem je jesienią, podczas pamiętnej akcji skupu zboża. Poznałem wtedy nędzę tych okolic. Malutkie zagoniki kiepskiej ziemi. Piaski nie chcą żywić. Tam wymokło, tu wypaliło słońce...

Rozmawialiśmy wtedy do późnych nocy: chłopi, agitatorzy i my, dziennikarze. Podtekst naszych dyskusji był jasny: tylko spółdzielnie produkcyjne mogą wydźwignąć z błota te wsie.

Ciemnota tu jeszcze straszna. Niby się życie trochę polepszyło, bo reforma rolna, bo rozdano hrabską ziemię. Ale jednocześnie najdłużej tu się tłukły bandy. Rabowały, żarły, paliły. Ludzie przytaili się nieufnie, zastraszeni, skonsternowani.

Drohiczyn, stary gród Jadźwingów nad Bugiem. Bardzo charakterystyczny dla poziomu ekonomiczno-cywilizacyjnego tych ziem: cztery kościoły, duże, okazałe, seminarium duchowne, też na wyrost, i kilkanaście omszałych, rozsypujących się kleci. Przy Drohiczynie, pod górą zamkową przeprawialiśmy się tamtej jesieni przez Bug. Wdaliśmy się w rozmowę z chłopakiem-przewoźnikiem. Dowiedzieliśmy się, że ukończył 7 klas szkoły podstawowej. Patrzymy na tę lichą łódeczkę zastępującą prom. Ktoś z nas pyta:

— No i co? Zostaniesz już tym przewoźnikiem? Nie pójdziesz się dalej uczyć?

— Nie, po co — odpowiada przewoźnik. — Od panów to już wezmę złoty pięćdziesiąt za kurs...

Widać, że przyuczył się cwaniactwa związanego z niepewnym, na okazji zasadzającym się zawodzie.

Razem z nami siedział w łódce starszy mężczyzna. Pracował przy regulacji Bugu. Wtedy zajęcie to wydało nam się bezsensowne. Na Bugu statki mogły chodzić jedynie po wiosennej wodzie.

Wielka magistrala wodna ożywi te tereny. Prawda, zbiorniki jeziora połkną spory szmat piaszczystej, nędznej ziemi, ale za to nowoczesny system melioracyjny zapewni okolicy pięciokrotnie większy plon. W przeliczeniu więc — za 1 ha zatopionej ziemi otrzymamy 2 nowocześnie eksploatowane, nawodnione, przynoszące pięciokrotnie większy plon. Inżynierowie nasi przewidują tu olbrzymią gospodarkę warzywniczo - ogrodniczą. Nawadnianie łąk, szczególnie nad Narwią, stworzy potężny rezerwuar paszowy. A dodajmy jeszcze przemysł, który musi tu narodzić się w związku z rewolucją rolniczą. A dodajmy jeszcze pięć nowoczesnych elektrowni produkujących tanią energię.

Ale nowe na razie chyłkiem wkrada się na te zapomniane przez Boga i ludzi ziemie. Rozmawialiśmy z wiertaczami. Była to niedziela — ten pierwszy dzień naszej wędrówki w przyszłość. Najrezolutniejszy wiertacz-brygadzista odrobinę się „zaprószył". Starał się mówić wykwintnie i przekonywająco.

— Pardon — przerywał co chwila mówcom. — Minimum... — chwilę się zastanawiał przymykając oczy. — Tu ciężka robota.

Skarg właściwie nie miał. Wiertacze zarabiają bardzo dobrze.

Ale jednocześnie zdumiewała go niezwykła sytuacja, w jakiej się tu znalazł. On, i przed wojną dobrze zarabiający fachowiec, nie zajmował zbytnio umysłu polityką. A tu, na tych zacofanych ziemiach, przyszło mu odgrywać rolę pioniera postępu. Ta jego wieża wiertnicza stała się symbolem nowego. Nie można się więc dziwić, że patrzą na nią oczy niechętne, ba, często nienawistne.

— Pardon — mówi wiertacz — minimum każdemu dziecku kłaniam się grzecznie, bo nie wiem, czy mnie nie uderzy... Przecież się tu jeszcze czasem bandziory pokazują... Niechby firma dała jakąś straż.

Moim zdaniem straż tu będzie niepotrzebna. Na to miejsce przydałaby się jakaś akcja polityczno-agitacyjna, żeby chłop pojął, co się na jego ziemi rodzi: bo dotychczas była kompletna cisza. Komitet Powiatowy daleko, a wiercenia trzeba koniecznie kontynuować. Więc ten lub ów inżynier, aby nie urazić nieufnych chłopów, tłumaczy im z przebiegłym uśmieszkiem: „Żelaza szukamy, stąd te wiercenia..."

Oczywiście, już w przyszłym roku wkroczy tu rewolucja w całej swojej sile. Z nowoczesnym sprzętem, z silną organizacją partyjną, z elektrycznością, z dobrze zaopatrzonym sklepem. Ale na razie...

Jadąc autem do Mielnika przejeżdżaliśmy przez malutką wioseczkę przylepioną do wzgórza. Kiedy po godzinie wracaliśmy, wspinając się po pochyłej wiejskiej uliczce, szofer nagle zahamował i skręcił w bok. Wysiedliśmy z auta. Przed nami wił się starannie ułożony na drodze drut kolczasty. Szarzało. Pokiwaliśmy głowami, nawet szofer nie odczuwał gniewu. Wiele wieków nędzy, uciemiężenia, ciemnoty musiało się nawarstwić na tej wsi, żeby dziś czyjaś ręka mogła położyć drut kolczasty przed autem wiozącym inżynierów.

Z FALĄ SZTUCZNEJ POWODZI

Bardzo ładna pogoda. Płyniemy znów zasłużonym statkiem-staruszkiem. Inżynier-wodniak przypomina, że jeszcze jako dziecko pływał na tym obiekcie. A przecież, jak wspomniałem, inżynier - wodniak jest już mocno — jak się to mówi — w sile wieku. Z taborem żeglugowym na razie raczej kiepsko. Nasze stateczki to w większości weterani, z których każdy w sumie kilka lat przeleżał na dnie, zatopiony podczas pierwszej czy drugiej wojny. I nam wypadło odbywać podróż w rok 1960 stateczkiem sprzed pół wieku.

Inżynier-wodniak wcale się nie wstydzi tego staruszka.

— Jak będzie żegluga, to i statki się znajdą — mówi.

Wierzymy. Nauczyliśmy się już ufności w poczynania naszych inżynierów. W Modlinie meliorant kupił „Trybunę Ludu". Czytają teraz wszyscy trzej referat tow. Szyra, wygłoszony na Krajowej Konferencji NOT-u. Wodniak miał nawet zaproszenie na tę konferencję. Zmarnowało się przez naszą wyprawę.

Płyniemy odcinkiem Wisły, który jest już w 30 proc. uregulowany. Za trzy lata od Warszawy do Ciechocinka będą mogły kursować 600-tonowe barki. Regulacja, polegająca na skoncentrowaniu nurtu rzeki, jest bardzo kosztowna. Uregulowanie kilometra Wisły kosztuje blisko dwa miliony złotych. A budowle to nieefektowne i niezbyt porywające: układa się po prostu z faszyny poprzeczne tamy, prostopadłe do brzegu, który mają chronić. Tymi tamami, tzw. poprzeczkami, spycha się nurt na właściwe miejsce, które wyznacza łagodna falista linia, najbardziej sprzyjająca ruchowi wody.

Prymitywną, przestarzałą pracę tamiarzy usprawniają niedawno wprowadzone kombajny pomysłu inż. Kornackiego. Machiny te przypominają po trosze olbrzymie krosna. Poruszane są one na razie przy pomocy ręcznych wind. Inżynierowie obiecują, że niedługo wyposaży się je w mechaniczny napęd.

Wyszliśmy na dziób statku. Z kęp wiślanych porywają się gęste stada dzikich kaczek. Inżynierowie ubolewają, że nie ma ich jakiegoś znajomka, który ponoć jest wybornym myśliwym. Szczególnie celuje w wabieniu kaczorów. Okrywszy usta zwiniętymi dłońmi, wydaje takie podniecające dźwięki, że żaden kaczor nie może się im oprzeć.

— Przed wojną — wspomina meliorant — przyjechali do Polski angielscy myśliwi. Musiałem ich obwozić. To ci byli specjaliści. Z nut, żeby się nie pomylić, wabili ptactwo...

Mijamy 614 kilometr Wisły, meliorant ożywia się wyraźnie.

— Tu — wskazuje niski brzeg porosły zrudziałą trawą — zbudujemy śluzę wlotową, przez którą będziemy pobierać wodę powodziową. Zalewy te obejmą w tym miejscu 1200 ha łąk. Wody Wisły są bardzo żyzne, muł, który rzeka niesie, „unawozi" łąki i kilkakrotnie zwiększy plon paszowy.

I przy okazji wygłasza popularny wykład o zasadach nowoczesnej melioracji. Staroświecka melioracja, jak się dowiadujemy, uważała, że bagniste grunty należy jedynie odwodnić przy pomocy drenów i rowów. Metoda ta okazała się bardzo szkodliwa. Np. torf po odwodnieniu natychmiast popielał i już w żaden sposób nie można go było reaktywować. Powstawała jałowa popielista pustynia. Nowoczesna melioracja także odprowadza wodę z bagien, ale to dopiero początek robót. W następnym etapie należy w sposób celowy i planowy dostarczyć tym gruntom wody potrzebnej do życia. Więc po prostu ta nowa melioracja polega na wyeliminowaniu chaotycznego, żywiołowego nawodnienia gruntu i wprowadzenia ścisłej, planowej gospodarki wodą.

Meliorant nie może oprzeć się chętce, żeby się nie pochwalić, jak to dziś państwo docenia meliorację. Uczestniczył tego roku w komisji przydziału prac dla absolwentów politechniki. Między przedstawicielami poszczególnych instytucji dochodziło do grubiańskich kłótni o tych meliorantów, hydrotechników, o których przed wojną pies z kulawą nogą nie zabiegał.

Potem mijamy Włocławek z mostem rozpiętym nad Wisłą niby żelazna sieć. Pod Płockiem i tutaj zobaczyliśmy nielicznych piaskarzy czerpiących koszami żwir z dna rzeki. W Warszawie już ich nie spotkasz. Niby tak się zrośli z krajobrazem warszawskim, ale przyszły maszyny, potężne pogłębiarki i stary malowniczy zawód zdezaktualizował się. Warszawa potrzebuje dla budownictwa rocznie 1.200 tys. ton piasku. Koszami tego nie naczerpiesz.

Jeszcze przed Włocławkiem zwiedziliśmy wystawę sztuki ludowej Mazowsza urządzoną na barce, która płynie od wsi do wsi. Głośnik huczy oberkiem zespołu „Mazowsze". Po salce krążą bosonogie dzieciaki i kilka babek. Ot, nawet i kultura uznała Wisłę jako pełnoprawną magistralę swojej ekspansji.

Wpływamy wreszcie do kanału bydgoskiego, który wkrótce zostanie powiększony i unowocześniony. Nadciąga noc. Inżynier od budowli wodnych powiada:

— Więc to jest ciąg dalszy wodnej trasy W—Z. Ale być może wykopiemy inny kanał, krótszą drogę, bardziej na południe...

Dmie chłodny wiatr, ale nie schodzimy z pokładu. Patrzcie, jak się rozzuchwalili: „wykopiemy inny kanał..."

NOCNA ROZMOWA Z INŻYNIEREM

Podczas naszej podróży poznaliśmy przynajmniej pół kopy inżynierów. I tych najmłodszych, którzy rok temu ukończyli studia, i tych starszych — jak to się mówi — przedwojennych. Przychodzili do nas na pokład ubrani bardzo prowincjonalnie, często w samodziałowych bryczesach i długich butach przypominali odrobinę wizerunek kułaków z naszych pism satyrycznych. Mówili też niezbyt błyskotliwym językiem, zdarzały się im i jakieś wyrażenia gwarowe. Widać było, że zrośli się z tym terenem. Wyjechali gdzieś tam przed wojną do zapadłej dziury na stanowisko urzędnicze, bo takie w najlepszym razie było dostępne dla inżyniera i tak już zostali: ni pies, ni wydra, ni uczony, ni referent. Ale i ci z większych ośrodków też wyglądają nieszczególnie, widać, że ta hydrotechnika czy melioracja nigdy nie były kasowe, że w specjalistach tych mógł kiełkować z czasem kompleks niższości.

A tymczasem masz! Ni z tego, ni z owego w naszym ustroju ci szarzy hydrotechnicy wyskakują na pierwszych obywateli państwa. Wszystkie gazety piszą o ich poczynaniach, zaprasza się ich na najpoważniejsze konferencje, z szacunkiem wysłuchuje się ich projektów, które roili w młodości. No i wreszcie powierza im się przeobrażenie przyrody naszego kraju.

Ci niepozorni ludzie w skromnych ubraniach zaczynają coraz częściej operować milionami: „wykopiemy pół miliona metrów sześciennych ziemi, utworzymy zbiornik na 200 milionów metrów sześciennych wody, damy państwu 10 miliardów kWh..."

I, rzecz szczególna, nie przyszło nam do głowy rozmawiać z inży-

JÓZEF OZGA-MICHALSKI

Z Kielecczyzny do Moskwy i Taganrogu

I

W przedziale sporo nadymiono, każdy jest nieco wytrącony z codziennego biegu życia, każdy jest podniecony ciekawością zrodzoną z wielu nagromadzonych pytań i wątpliwości, które na drogę podsunęli niedowiarkowie.

— Powiadali — odzywa się ktoś w kącie — że na granicy przebiorą nas w inne ubrania...

Wszystkie oczy zwracają się na mówiącego z kpiącym uśmiechem...

— Kto gadał?

— Gadali we wsi, że nas przebiorą w gorsze odzienie, aby się kołchoźnicy przekonali, że u nich jest bogaciej niż u nas indywidualnych...

Brześć wita nas kolorowymi sukniami kobiet na peronie, białymi mundurami służby kolejowej, szarymi kombinezonami robotników zatrudnionych przy rozbudowie torów. Stacja kolejowa pełna letnich barw raduje oczy.

Nasz parowóz sapnął kilkakroć, jak chłop po robocie, odetchnął z ulgą i stanął gotowy do wyprzęgnięcia.

Teraz pojedziemy nową żelazną szeroką drogą przez radziecki kraj, wyciągający ku nam gościnne ramiona.

Właśnie zamieniamy uściski z witającą nas delegacją Ministerstwa Rolnictwa, która wyjechała nam naprzeciw z dalekiej Moskwy. Pierwsze kwiaty skropione przelotnym deszczem znalazły się w dłoniach naszych kobiet. Słońce ozłaca twarze zaciekawione i uśmiechnięte. Przed wieczorem wyruszymy w dalszą drogę, do Moskwy.

II

Moskwa. Wyjeżdżamy z hotelu. Jedziemy na leninowskie wzgórze, gdzie mamy z bliska obejrzeć uniwersytet im. Łomonosowa. Droga, która wiedzie na wzgórze, jest zryta i rozkopana. Jedynie biegnąca środkiem wstęga asfaltu pozwala na przejazd. Przy poszerzaniu drogi pracują kobiety i mężczyźni, pomagają drużyny żołnierzy. Po obu stronach powstającej arterii sadzi się drzewa, tworzą one cienistą aleję, pod każdym takim świeżo posadzonym drzewem ustawia się ławeczki, od razu przechodzień może przysiąść... Wtedy nad głową szumią mu liście stuletnich drzew. Otwieramy ze zdziwienia gęby, albowiem nikt z nas nie widział dotąd zywcem z lasu wyrywanych kloców tak olbrzymich.

Chłopi wzdychają i sapią na widok prac, które wykonują wielkoludy socjalizmu, maszyny sadzące te drzewa.

Po prawej stronie widzimy wybrane w ziemi gniazdo, w którym spoczywają już żelazne korzenie rur, doprowadzających wodę, wiją się jak drzemiące węże potężne sploty przewodów kanalizacyjnych. Stanie tu wkrótce dom, który wyfrunie z tego gniazda wysoko w górę jak ptak, wykują jego kształt z piaskowca, z marmuru — robotnicy.

Samochód nasz mija miejsca dopiero co rozpoczętych budowli i wspina się na leninowskie wzgórza, łagodne stoki i szerokie płaszczyzny. Wszędzie aż rojno od ludzi.

Grupa nasza wysiada z samochodu i wszyscy jak na komendę zadzieramy głowy do góry. Jesteśmy u stóp uniwersytetu Łomonosowa, którego szczyt, uwieńczony godłem socjalizmu — ginie w niebiosach. Patrzy się na ten gmach tak, jakby się spoglądało z doliny Zakopanego na Giewont.

W pobliżu lśni małymi kopułkami cerkiewka. Mówią, że Napoleon grzał w sobie w niej przy trybularzu ręce, gdy atakował Moskwę. Teraz cerkiewka przysiadła na trawie, jak zielona żaba, i przez swoje okrągłe szybki z trwogą spogląda na olbrzymiego Łomonosowa. Takiego już nie przeskoczy. A więc siedzi w trawie zaklęta urokiem nowych wieków i świadczy wszystkim o przemianach, które tu zaszły.

Nic tak nie przekonywa człowieka jak te dwie ze sobą zestawione budowle. Jedna stara, niby długowieczny żółw, ciągnący przez wieki swoje istnienie. Druga wytryska w niebo jak fontanna pchnięta olbrzymią utajoną przez wieki siłą ludu.

— Ten podniebny pałac nauki projektował architekt Rudniew — wyjaśnia nasz przewodnik.

— A kto to był ten Łomonosow? — zapytuje ktoś z naszych. — Mnie interesuje, co on za jeden, żeby można chłopom opowiedzieć...

— Łomonosow to syn pańszczyźnianego chłopa, rybaka; przywędrował do Moskwy piechotą, żądny wiedzy zaczął się uczyć i pokonując wszystkie trudności osiągnął najwyższe szczeble nauki, był fizykiem i chemikiem, a jego prace nad ukształtowaniem rosyjskiego języka literackiego mają przełomowe znaczenie. Klasyczne ody Łomonosowa należą do pierwszych wybitnych utworów literatury rosyjskiej...

Tu nasz przewodnik, pracownik Ministerstwa Rolnictwa, spojrzał w górę, odetchnął głębiej i zacytował z jednego z poematów Łomonosowa ten niewielki fragment:



„Powstań w męstwie i rozsądku,
Powiedz mi, gdzieś był przed laty,
Kiedym ja w pięknym porządku
Stwarzał te i drugie światy;
Kiedym twierdze ziemi stawiał..."

...a oto stoi przed nami twierdza ziemi już zdobyta, zbudowana przez człowieka... — ciągnie przewodnik wyjaśnienia.

— Jak dawno żył ten Łomonosow, żeby już wszystko o nim wiedzieć?...

— Żył za carowej Katarzyny około dwustu lat temu, nie cieszył się łaską możnych. Własnym kosztem założył na przedmieściu fabrykę, gdzie wyprawiał różne gatunki szkła, robił doświadczenia fizyczne... Trzeba wam wiedzieć, ze Łomonosow był chłopem olbrzymiego wzrostu i siły. Uniwersytet jego imienia jak widać też ma swój wzrost... otóż chcę powiedzieć, jak Łomonosowi przydała się ta siła..

Pewnego razu szedł pustymi podmiejskimi uliczkami do swojej pracowni. Wtedy drogę zastąpił mu rzezimieszek, znany złodziej, i powiada: — zdejmuj ubranie po dobrej woli, jestem złodziejem i muszę cię okraść! Łomonosow odpowiedział mu: — jak potrafisz, to zdejm ze mnie ubranie i zabierz je sobie. Ale złodziej nie mógł nawet zgiąć ręki Łomonosowa i ubrania nie ściągnął. Wtedy nasz bohater, uczony-siłacz, podniósł złodzieja za kark lewą ręką, a prawą rozdział go z szat. — Teraz idź do cyrkułu i powiedz policmajstrowi, że Łomonosow okradł cię na ulicy — rzekł i poszedł spokojnie do pracowni.

— A w to wierzę — wtrącił nasz Kaszub Podolski. — U nas na Kaszubach też był taki silny chłop, który wóz ze sianem jak wlazł pod niego, do góry podnosił..,

— Ale wierszy nie pisał i fizykiem nie był — zadrwił sobie Oborski z powiatu siedleckiego.

— Co mówisz — wtrąciła ostro delegatka z poznańskiego. — A miesiąc temu odsłanialiśmy pomnik Klemensa Janickiego w naszym powiecie, on też miał podobne dzieje jak Łomonosow, też chłop i też wiersze pisał. Czemu w Poznaniu jeszcze uniwersytetu imienia Klemensa Janickiego nie ma, co?... o, jak przyjadę, to powiem... w Radzie Narodowej...

III

Minęliśmy już Rostów. W słońcu błyszczy już szeroką wstęgą Don. Rzeka płynie wśród równych stepowych brzegów. Ziemię zwilżył pięciodniowy deszcz i w górę wzbija się mgła. Wilgoć przepaja powietrze, maluje łąki na jędrny ciemnozielony kolor. Pociąg nasz zbliża się do rzeki i jakiś czas biegnie nadbrzeżnym nasypem. Są tu malownicze zakręty rzeczne pełne krzewów i ziół kwitnących.

Ścielą się równym liściem podbiały i wystrzelają grubymi łodygami olbrzymie łopuchy. Rozpalają się na zboczach wąwozu kwiaty dzikiej róży i płoną krasnym rumieńcem, są piękne kaliny, pełno wilic i rozchodników. Patrzymy na te krzewy i zioła jak na starych znajomych, mają barwy podobne do naszych i zapach mają pewnie ten sam. Chciałoby się wysiąść i pochodzić bosą nogą po tej ziemi zroszonej deszczem, pachnącej kwiatami i świeżą trawą.

Wąwozem wydostajemy się na płaszczyznę, rzeka zostaje w dole i skręca w step, a my jesteśmy olśnieni otwartym nagle widokiem na rozpostarte przed nami Morze Azowskie.

Wszyscy otwieramy okna. Jedziemy tuż obok bezkresnej płaszczyzny wód. Ciepły wiatr południowy kołysze żaglami rybackich łodzi z kołchozów. Morze spokojne, jakby to nie fale — a baranki lizały zieloną murawę brzegów.

IV

Przybyliśmy do kołchozu im. Lenina, położonego w powiecie Taganrog.

Po tylu dniach podróży wylądowaliśmy nareszcie we wsi. Nasza czterdziestoosobowa grupa maszeruje gościńcem, środkiem udeptanej drogi ku budynkowi z cegły, gdzie mieści się zarząd kołchozu.

Domy w tej wsi świeżo pobudowano po frontowym zniszczeniu. Przypominają pińczowskie lub miechowskie chaty, szczególnie te, które są kryte słomą. Gdyby nie to, że gościniec wiedzie prosto w morze, falujące tuż za ogrodami i domami, jak u nas pszenica za stodołami, miałoby się złudzenie, że to Polska.

Ludzie wybiegają ku nam ze wszystkich stron, chcą z nami mówić, mieszają się z naszymi chłopami tak, że po jakimś czasie rozbrzmiewa na ulicy polsko-rosyjska mowa, pełna dziwnych akcentów ni to polskich ni rosyjskich. Mimo trudności językowych rozumiemy się doskonale. Dowiadujemy się, że:

Z owiec po wojnie nie pozostała ani jedna. Dzisiaj jest stado owiec, liczące 1532 sztuki.

Aby nie zapomnieć o prosięciu cudem ocalałym od szabel bohaterów najbardziej łakomych na sadło, trzeba dodać, że chlewnia kołchozowa liczy 766 sztuk tuczników.

Gdy weźmiemy pod uwagę, że członkowie kołchozu, a jest ich 584, posiadają krowy, świnie, owce, cielęta — to obraz wzrostu gospodarki tej tak straszliwie zniszczonej przez wojnę wsi przedstawi się nam jeszcze bardziej imponująco.

Gdy już z grubsza zapoznaliśmy się z kołchozem, każdy z nas zapragnął stwierdzić prawdę zawartą w liczbach, przekonać się naocznie o tym wszystkim, co mówił przewodniczący o rozwoju wsi, o wzroście dobrobytu chłopów, którzy w niej mieszkają.

Czego nasi delegaci chcieli się dowiedzieć najbardziej, szczególnie ci wątpiący? Tego:

— czy kołchoźnik ma dostatek?

— czy przewodniczący nie jest jakimś nowym dziedzicem?

— czy jest samorządność w kołchozie?

Mimo że nikt bezpośrednio nie stawiał tych pytań, to przecie jasne było, że do poznania tych spraw zmierzały dociekania delegatów.

Idziemy gromadą przez pola. Towarzyszą nam kołchoźnicy, wśród nich świniarka Szewczenko, która wyrobiła 551 dniówek i otrzymała 21 kwintali ziarna, 5.5 kwintala jarzyn, 2590 rubli i cztery prosięta. Świnie otrzymała z wychowu osiągniętego przez nią ponad nakreślony przez kołchoz plan. (Czwartą część otrzymuje hodowca jako premię za swoje starania i pielęgnację prosiąt).

Idzie z nami koniuch, który wypracował 967 dniówek, co przyniosło mu 36 kwintali 75 kilogramów ziarna, 9 kwintali 60 kilogramów jarzyn i 4575 rubli.

Każdy kołchoźnik posiada własne gospodarstwo składające się przeciętnie z jednej krowy z cielętami, ze świń, owiec i drobiu. Ilość owiec dochodzi do dziesięciu sztuk. Działka przyzagrodowa wynosi w tym kołchozie pół hektara.

Dochód z indywidualnego gospodarstwa, produkującego swoje towary na wolny rynek, kształtuje się przeciętnie od 10 do 12 tysięcy rubli rocznie.

We wsi prawie wszyscy mają rowery, pięćdziesięciu kołchoźników posiada motocykle a pięciu własne samochody osobowe.

Nasi chłopi z krakowskiego, kieleckiego otwierają gęby z podziwu, słuchając wynurzeń chłopów spod Taganrogu, co tak szybko podnieśli się z powojennych ran i osiągnęli tyle zboża, owiec, bydła, założyli elektryczność, mają radia i maszyny.

— No — rzecze Maćkowski, jeden

siąte naszego wieku

nierami o ich warunkach bytowych. Jakoś nie wypadało. A przecież wiedziałem doskonale, że nie wszyscy jeszcze zarabiają jak należy, że im też jest nie lekko. Po prostu operując tymi milionami i miliardami kłócili się z dyrektorami, kierownikami i brygadzistami jak o swoje. Brali na siebie całkowitą odpowiedzialność za to wielkie rozpoczynające się budownictwo.

Do późnego wieczora rozmawialiśmy na dziobie statku z inżynierem - specjalistą od budowli wodnych. Ten już nie był takim zacukanym „wodziarzem". Przed wojną wiodło mu się nienajgorzej. Zaciekawił nas, bo chociaż symulował jak najdalej posuniętą powściągliwość, chociaż reklamował jako swoje jedyne zainteresowanie — słabość do ogródka działkowego, to i on jednak tam nad Bugiem stracił flegmę i biegał po tych wzgórzach z wieżami wiertniczymi, jakby mu ubyło trzydzieści lat. Inżynier nasz ukończył politechnikę w 1925 roku i począł rozglądać się za pracą. Ale w kraju była bieda, roboty nie znalazł, więc wyjechał do Turcji. Piastował tam godność powiatowego naczelnika od spraw wodnych. Uciuławszy trochę funtów, wrócił po kilku latach do kraju i już wtedy życie potoczyło się gładziej. Pracował przy budowie Porąbki. Czujemy, że gotów trochę skłamać, żeby tę budowlę jakoś powiększyć, nadać jej poważniejsze znaczenie, bo przecież włożył w to kawał życia, a teraz to budownictwo przedwojenne bardzo zbladło, nabrało trochę humorystycznych proporcji.

Więc rozmawialiśmy początkowo o tym i owym. Inżynier mówił oględnie, starał się omijać słowa, które mogłyby wydać się deklaracją. O pozytywach nie trzeba było rozprawiać, same się narzucały. Inżynier otulając się płaszczem coraz otwarciej zwierzał się ze swych niepokojów, wątpliwości, które gdzieś tam na codzień toczą człowieka.

O trudnościach żywnościowych nie wspominaliśmy nawet. Inżynier zaprojektował system śluz nawadniających dla rolnictwa. Jako fachowiec wiedział, ile to przyniesie zacofanej gospodarce wiejskiej.

Zaczął więc od ludzi. Że są tacy i owacy. Że na szczeblu centralnym jest dobrze, ale w terenie jeszcze panoszy się grubiaństwo, że potraktowano go niegrzecznie, chociaż słuszność była po jego stronie. Wynikało z jego słów, że najpierw trzeba wychować ludzi a potem dopiero brać się do budowy socjalizmu.

— Takich cudów nie ma — zaoponował ktoś skryty w mroku. — Trzeba budować nowy ustrój z takimi ludźmi, jacy są. W pracy wychowują się. To, co mówicie, to idealizm, poezja. A przecież inżynieria jest nauką ścisłą...

Inżynier w gorącej dyspucie przyznaje wreszcie rację i przeskakuje na inny temat.

— Tyle się mówi, że w naszym ustroju olbrzymią rolę odgrywa planowanie. A przecież i w Ameryce teraz rząd planuje. Powiadają: o tyle i tyle musimy podnieść produkcję surówki, o tyle i tyle produkcję rolniczą...

Nie jesteśmy zbyt mocnymi ekonomistami. Odpieramy więc ukryty zarzut „na wyczucie".

— W warunkach gospodarki kapitalistycznej nie można zastosować ścisłego planowania. To przecież sprzeczność sama w sobie. Może częściowo, przy pomocy monopolów, można wpływać, ale to planowanie różni się przecież całkowicie od naszego.

— A weźcie pod uwagę — ktoś wtrąca — że to ich planowanie jest skierowane przeciwko człowiekowi, że to planowanie wojenne.

Nasze chaotyczne argumenty skruszyły trochę inżyniera. Zmienia znowu temat. Zaczynamy mówić o roli partii. Inżynier widzi stały wzrost sił i autorytetu partii, budzi to w nim szacunek. Widać, że rozumie już kierownicze znaczenie partii, ale gdzieś wewnątrz siedzi w nim wychudzony i osłabły, ale jeszcze żywy liberalizujący mieszczuch. Więc słowo „partia" wymawia bardzo powoli, jak termin, przy którym wolno się zająknąć.

Czujemy, że rozmowa ta powinna mieć jakąś pointę. Wszystkimi wątkami zbiegamy w jednym kierunku. Za chwilę powinno nastąpić podsumowanie.

— Młodszym jest łatwiej. Od razu, z miejsca uczą się i żyją prawidłowiej... Ja bym nie nadawał się do partii... Nie pasowałbym. Tam potrzeba ludzi silnych, nie, nie to, że silnych... sam nie wiem, jak nazwać... A za mną przecież kilkadziesiąt lat różnego życia. I bym już chyba nie potrafił. Nie wiem, czy rozumiecie...

Milczeliśmy, jakby onieśmieleni w przeczuciu trosk tego mocno siwego człowieka, który być może podświadomie żałował zmarnowanych lat. Za burtą bełkotała cicho woda. Na brzegu chwiały się latarnie w kolistych otokach mgły, przesyconej żółtym światłem.

Inżynier pochylił się ku nam i rzekł prawie szeptem:

— Kiedy byłem dzieckiem, ojciec prowadził mnie pod zamek w Warszawie i pokazywał Czerkiesów pełniących służbę. „Patrz — mówił — i pamiętaj. Zaborcy. Rosjanie". W 1905 roku pokazywał Kozaków szarżujących na tłum: „Patrz, co robią Rosjanie". Prowadził pod cytadelę i uczył: „Tu Rosjanie mordują Polaków..."

Inżynier wydobył pudełko z papierosami. Zapalił zapałkę trochę drżącymi palcami.

— W takiej atmosferze rosłem... W ciągu lat kamieniało to w głowie...

Milczeliśmy. Pod pokładem buczało jękliwie dynamo.

— Dziś z całym przekonaniem należę do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej...

W POSZUKIWANIU WIOSNY

Trzeciego dnia znaleźliśmy się w Krakowie. Stąd autami, porzuciwszy statek, wyruszyliśmy na penetrację okolic podgórskich. Kryje się tu odwieczne niebezpieczeństwo, zmora spędzająca sen z powiek setkom tysięcy ludzi: powódź. Wiosną kiedy topnieją śniegi, albo nawet i w lecie, czy jesienią, kiedy spadną deszcze, wątłe górskie strumyki urastają tysiąckrotnie, stają się wielkimi, narowistymi rzekami, które niszczą życie na swej drodze.

W tej chwili reguluje się najbardziej niesforne rzeczki, buduje się na nich niewielkie zbiorniczki ściśnięte klamrą tamy z siwego piaskowca. Ale to jeszcze wcale nie wystarcza.

Ażeby uwolnić się od zmory powodziowej, należy tu wybudować wielkie zbiorniki - jeziora, które by umożliwiły zmagazynowanie 3 miliardów sześciennych wody.

Przed wojną wybudowano dwa zbiorniki: w Rożnowie i Porąbce, które magazynują zaledwie drobną część potrzebnej wody. Po wojnie wybudowaliśmy (nie licząc ostatecznego wyposażenia w potrzebne urządzenia Porąbki) dwa następne zbiorniki: w Czchowie i Goczałkowicach (ten ostatni jeszcze w budowie). Oprócz tego ruszy niedługo budowa dalszych pięciu zbiorników na Sole, na Rabie, na Górnym Dunajcu, na Sanie. Te zbiorniki zmagazynują około 2 miliardów metrów sześciennych wody. Resztę tych wód powodziowych przychwyci zbiornik, który zostanie wybudowany między Kazimierzem a Sandomierzem.

Trzeba dodać, że każdy zbiornik będzie wyposażony w elektrownię wodną. Nasze zasoby wodne winny dać około 10.000.000.000 kWh energii elektrycznej. No i chyba dadzą gdzieś tam w latach sześćdziesiątych, kiedy moja córka z tornistrem na plecach pierwszy raz wyruszy do obowiązującej ogólnie szkoły jedenastoletniej.

Oglądaliśmy regulację potoków górskich, które obudowuje się — rzekłbym — nawet z pewną elegancją. Nasi hydrotechnicy, którzy mają tyle kłopotów z tą nieobliczalną wodą, muszą się jeszcze liczyć z fanaberiami Polskiego Towarzystwa Turystyczno - Krajoznawczego, które powiada: „jeśli już „psujecie" Narodowy Park Tatrzański, to przynajmniej „psujcie" ładnie..." Stąd więc te piękne tamy z szarego piaskowca niezmiernie misternie ułożonego.

Na budowie takiego potoku ujrzeliśmy obrazek w zupełności symboliczny. Oto poryte zbocze górskie, nowoczesne betoniarki, przekopy, jakieś skomplikowane instrumenty. Kierownik budowy pokazuje nam nową konstrukcję kanału pod tamą — wzorowaną na doświadczeniach radzieckich. A tu wzdłuż odcinka budowy sterczą malutkie góralskie młynki wodne. Woda do nich doprowadzana rynnami z desek, koła porosłe ciemnozielonym mchem, same „obiekty przemysłowe" nie większe od przyzwoitej wygódki. Ot i kontrast nowego ze starym.

Kiedyśmy wieczorem wracali do Krakowa wspinając się po stromej szosie, którą tu, prosto przez pagóry, wytyczył kiedyś jakiś lekkomyślny c. k. inżynier, niezmordowany meliorant pociągnął mnie za rękaw:

— Spójrzcie — rzekł.

Byliśmy na wzgórzu. Przed nami, w dole, migotało olbrzymie i płaskie jezioro światła.

— Nowa Huta — szepnąłem.

— Aha! — przyświadczył meliorant i w tym lakonicznym dźwięku odczułem ton, który by można było bez przesady nazwać dumą.

Ale jeszcze trzeba opowiedzieć o Krakowie i o Nowej Hucie. Wisła w okolicach Krakowa silnie żłobi dno. Gdyby nie powstrzymać tego procesu, po jakimś czasie mosty krakowskie i bulwary pozbawione oparcia na gruncie, który stale wymywa rzeka, runęłyby na dno niespokojnej Wisły. Żeby temu zapobiec i podnieść poziom wody, należny wielkim obiektom przemysłowym, jakimi są Kraków i Nowa Huta, inżynierowie nasi postanowili w Krakowie w trzech miejscach spiętrzyć Wisłę. Rzecz jasna powstaną i tu elektrownie wodne. Ta spiętrzona Wisła zaspokoi potrzeby przemysłu, który ciągle domaga się wody („Aha, mówiłem" — trąca mnie meliorant), ta sama woda zrosi plantacje ogrodniczo - warzywnicze w dolinie nadwiślańskiej, koło Piekar.

No i wreszcie oglądamy piękny nowoczesny port w Nowej Hucie. Meliorant biega między blokami żelbetonu, wpada do wykopów, zagląda do rur. Nawet to nas trochę niecierpliwi. Wreszcie wraca, utytłany w glinie, zadyszany. Rusza szybko wąsikami.

— To wszystko naszymi rękami... — mówi bezładnie. — Wszystko polscy inżynierowie... U nas ludzie taaakże głowy mają... Tylko że przedtem nie dopuszczali...

Jesteśmy trochę skonsternowani tym wybuchem. W biały dzień, na oczach setek ludzi...

Potem płynęliśmy w dół Wisły, mijaliśmy Sandomierz i Kazimierz. Oglądaliśmy ziemie butwiejące, zamierające. Brak kolei, brak przemysłu skazywał je przed wojną na wegetację. Wisła tutaj jak za króla Ćwieczka. Szeroko rozlana, pełna łach, mielizn, brzegu nie można rozróżnić. Widzieliśmy wieś Krasno Górne ulokowaną na wątłej wyspie, otoczonej krętymi ramionami Wisły. Kiepsko tu z pewnością wygląda podczas powodzi.

Ale i tu przyjdą już niedługo inżynierowie, nadciągną maszyny. A w roku 1960 popłyną tędy tysiąctonowe ładowne barki z Nowej Huty i ze Śląska. Stare, dawniej bogate i świetne w swej historii ziemie, wrócą do życia, otrzymają należną im rangę w naszym życiu gospodarczo-politycznym.

Dokoła nas jesień. Strome pagórki nad Wisłą między Kazimierzem a Sandomierzem całe rumiane od jesiennych liści klonów, dębów, brzóz. Lecą nam na spotkanie klucze dzikich gęsi. Za Puławami rozległa nizina. Sczerniała zieleń bagnistych łąk, plantacje siwej wikliny po brzegach. A my staramy się dostrzec w tym krajobrazie zarysy przyszłego potężnego szlaku wodnego, „zaktywizowanej" Wisły.

WYCIECZKA W GŁĄB HISTORII

Piłsudski powiedział kiedyś: „Polska jak obwarzanek — to warta, co ma po brzegach". Trzeba przyznać, że jeśli idzie o tę „obwarzankową dziurkę", to miał rację. Pewnie w myśl tej głębokiej maksymy wyprawiał się na Kijów. Nie kwapił się załatać mocarstwowego obwarzanka. Serce Polski, ziemie nadwiślańskie, wyizolowane z życia ekonomicznego kraju, marniały coraz bardziej.

Wisła, to chyba jedyna wielka europejska rzeka, która była do połowy XX wieku nieuregulowana, niezagospodarowana, dzika. Ten dziwaczny stan niepokoił bardzo wielu pisarzy. Narzekał na tę naszą żeglugę Prus, płynąc parostatkiem do Płocka, zaskoczony zaniedbaniem pięknych ziem nadwiślańskich. Żeromski marzył o poskromieniu Wisły, której bezpiecznym nurtem popłyną „szkuty i komięgi": „...Wody ujęte w ciasne łożysko zimą i latem pracują. Obracają szereg turbin, a będą wkrótce obracać tysiąc tysięcy. Niezmierzona siła elektryczna zastąpi siłę koni i wołów... Światła i siły będzie z miesiąca na miesiąc przybywać w miarę obwałowania szklanym murem rzeki Wisły. Siły i światła będzie taki ogrom, iż ono wszędzie dosięgnie. Zobaczymy wnet narzędzia orki, siewu, żniwa i omłotu, poruszane przez tę moc błogosławioną..."

Dopiero w ćwierć wieku po śmierci pisarza Polska ludu pracującego, Polska pokoleń szczęśliwych i radosnych wciela w życie jego marzenia.

W zimie 1934 — 1935 Boguszewska i Kornacki, zbierając materiały do powieści o wodniakach przewędrowali spory kawał Wisły. Niewesoła to była wyprawa. W swym dzienniczku notują: „...Ludzie słuchają, dogadują. Przecież mają co. O zatopionych lasach, polach, sadach. Zeszłego roku w czasie wielkiej powodzi zrobiła Wisła ludziom szkód na 70 milionów. Każdego roku robi najmniej na 20. A urzędnicy nic. Tyłkiem się do Wisły obrócili... Psiakrew, cholera jasna..." W innym miejscu: „...Nareszcie Włocławek... Kupujemy kliszę... Nie mogę wytrzymać z ciekawości, jak wyjdzie na fotografii nasza berlinka „Jan", my wszyscy na berlince, dokoła nas Wisła gładka i świecąca, za nami w dali wzgórza lesiste Szpetala... A przed nami pod fabryką Bohma leżą w pustce kupy śmieci, w których cały dzień grzebią psy i żebracy..." Na tę kupę śmieci włazi fotograf celem wykonania pamiątkowego zdjęcia z wyprawy wiślanej. To znowu prawie symbol. Wisła — wielki śmietnik w środku Polski.

Trzeba było wielkiej rewolucji, trzeba było owego dnia, kiedy „ujmie nareszcie brzegi wiślane plemię w jedno zrośnięte", aby marzenia pokoleń, marzenia największych naszych pisarzy mogły być urzeczywistnione.

Tadeusz Konwicki

z kieleckich chłopów—ładna tu jest ziemia. A jakie na pozastodolu piękne morze!...

— Masz ci los, morze mu się spodobało, ady w nim nawet krów nie napoisz, a co do ziemi, to ona sama nie pracuje, dopiero człowiek i maszyny dały jej radę! — polemizuje z Maćkowskim Podolski.

— To widać — poprawia się Maćkowski. — Popatrzcie, ziemia ciężka, skiba nie odwróci się za końskim ogonem, tu trza siły... ale to siły nie byle jakiej... a co do morza, to można w nim łowić ryby. My we Wiśle i to łowimy, a co dopiero tu...

— Masz rację, sąsiedzie — Podolski przysuwa się do niego, bierze pod łokieć. — Pierwszy raz odezwałeś się w czasie tej wycieczki, ale bardzo do rzeczy. Lubię ludzi z głową na karku!

Maćkowski nie łasy na pochwałę, trzyma się prosto, patrzy na rzeczy uważnie. Nie lubi ani pochwał, ani łajań. Widać, że uczy się tu nieustannie, przeżywa po swojemu widziane obrazy, ale nie daje tego poznać „na zewnątrz".

— O, popatrzcie — wskazał ręką, sandomierzanin — ludzie zerknęli w głąb łanu, tak jak rybak spogląda w głąb wody, i ujrzeli różowy buziak dziecka kołyszący się wśród kłosów pszenicy. Dziecko wracało ze szkoły albo z czytelni, z książkami pod pachą, rumiane, piękne. Szedł kołchozowym zbożem przyszły inżynier, marynarz, może lotnik, a może traktorzysta, któż wie dokąd prowadzi jego ścieżka wśród zbóż?

Wtedy to na czoło naszej wycieczki wysunęły się kobiety. Leśniakowa, Radzewicz, Pająkowa nie czekając na resztę podeszły do olbrzymiego p[illegible]a kapusty.

Długi rząd rur z rozpryskiwaczami rozłożony na drewnianych stojakach doprowadzał tam wodę, a spragnione głowy kapusty piły tryskający z rur deszczyk.

Chmury pogniewały się na ziemię, płanetnicy posterowali obłoki ku innym lądom, a tu kapusta usycha z pragnienia! Rób co chcesz! Ale tutaj omija się bezpłodne zarządzenia niebieskie. Człowiek wydaje własne zarządzenia w sprawach dotyczących swego losu.

Nawet żaba wylazła z jęczmienia i siadła wśród zroszonych głów kapusty, aby wymoczyć swoją zeschłą skórę.

Nasi chłopi patrzą na sztuczny deszcz:

— Jeden by tego nie zrobił, co?

— Ba! Choćby kolana wyklęczał, ani by Pana Boga nie uprosił o deszcze, ani by takiej rury nie założył!

Polskiemu chłopu zawraca się w głowie, gdy patrzy na tutejsze pola pszenicy, długie na trzy kilometry i na kilometr szerokie, na staja jęczmienia, owsa (żyta prawie nie sieją), na pola kukurydzy, lucerny, buraków cukrowych.

Czymże jest jego stajoneczko żyta i owsa w porównaniu z niekończącymi się łanami kołchozowych zbóż?

— A któż to zbierze — pojękuje ktoś, łapiąc się za głowę — tylachna pszenicy, któż to powiąże, pozwozi, pomłóci! Ludzie! Tu trza narodu a narodu!

Taki patrzy na tysiąchektarowy las zboża przez małą półhektarową działkę swojego żyta niegdyś ścinanego sierpem a dziś kosą. Dostaje zawrotu głowy jak człowiek, który nagle z małego pagórka wyszedł na wysoki czub góry i nieoswojony z widokami doznaje nieznanych dotąd uczuć.

I nie wszyscy delegaci rozumieli wszystko, póki nie zobaczyli — radzieckich maszyn. Maszyny są tym czarodziejskim kluczem, którym można sobie otworzyć drzwi do kołchozu i poznać sedno sprawy. Punkt maszynowy w polu na terenie kołchozu Nowa Biesechienowska, to żelazne ramię stacji maszyn rolniczych, ramię, które przerabia glebę na chleb.

Spotykamy tam traktorzystę Muchina, młodego, dwudziestoparoletniego człeka. Jego traktor wykonał już pracę 2200 hektarów średniej orki.

Nasz Podolski cofa się na krok od młodzieńca i spogląda na ręce traktorzysty.

Muchin zauważa ten ruch:

— Nie na dłonie spoglądajcie — mówi — patrzcie lepiej na tablice współzawodnictwa i na mojego konia. Tu traktorzysta Muchin pokazuje nam swój traktor:

— Inżynier wlał w niego gorącą krew, robotnicy wykuli mu mięśnie z dobrego żelaza, nie trzeba mu ogona zawiązywać w czasie słoty; mucha na nim nie siada, gdy jest upał — żartuje, unosząc ku górze ciężki hak, służący do przeczepiania pługów.

— 2200 hektarów — zapisują sobie nasi chłopi.

— A czyście się już ożenili, towarzyszu Muchin? — zapytuje z nagła któraś z naszych bab.

Wszyscyśmy byli zaskoczeni tym pytaniem, postawionym tak nieporęcznie wobec dopiero co poznanego człowieka. Ale Muchin nie okazał zdziwienia.

— Bywają u nas piękne księżycowe noce — mówił — wtedy szum morza dochodzi aż do okien naszych chat. W ubiegłym roku polubiłem dziewczynę i wybrałem ją sobie za żonę. Razem zbieramy bogactwa naszej ziemi, razem nadsłuchujemy szumu fal...

Ta prosta odpowiedź jeszcze bardziej zbliżyła nas. I wtedy dopiero runęły jak przypływ ze wszystkich stron pytania:

— Ile macie dzieci? Czy się chowają zdrowo? Jakie im się nadaje imiona?...

Józef Ozga-Michalski

WANDA LEOPOLD

Druga młodość Chakasji

Dopiero po przeczytaniu ostatniej książki Kożewnikowa, odznaczonej Nagrodą Stalinowską w 1950 roku, przejrzałam biografię i bibliografię prac tego autora. Zdumiały mnie dwa fakty: ten rdzenny Rosjanin poświęcił swoją twórczość innym narodom Kraju Rad, przewędrował ogromne połacie Związku Radzieckiego, skupiając swoje zainteresowanie na odległych krajach, z pasją podróżnika odkrywał wciąż nowe tereny i z radosnym triumfem śledził przemiany, jakie do najdalszych zakątków przyniosła rewolucja. Jego dorobek literacki to powieści o Uralu, o Kraju Murmańskim, o budowie linii kolejowej Turksib, o Syberii i wreszcie ostatnia — o Chakaskim Obwodzie Autonomicznym. Drugi zdumiewający fakt — to wiek autora. 60 lat w momencie wydania ostatniej książki a książkę tę chciałoby się po przeczytaniu określić przede wszystkim jako książkę młodzieńczą, tak bardzo zarówno jej uroki jak i niedostatki noszą cechy, które zwykliśmy przypisywać młodości.

O tych sprawach jednak nieco później, gdyż dla najbardziej nawet ogólnej analizy „Ożywczej wody"*) konieczne jest naszkicowanie w paru słowach choćby tła kraju niemal zupełnie czytelnikowi polskiemu nieznanego.

Chakasja, przed tysiącami lat kraj o wysokiej kulturze rolnej, po najeździe Mongołów zniszczona i ujarzmiona, stała się z biegiem czasu wyschłą stepową pustynią, a jej mieszkańcy koczującym plemieniem, którego całe bogactwo stanowiły wspaniałe rasowe konie. Dopiero Wielka Rewolucja wyzwoliła Chakasów spod ucisku bejów, a byli koniuchowie i parobcy poczęli sami gospodarować we własnym kraju. Jednocześnie zaczęły powstawać w Chakasji pierwsze stacje naukowo - doświadczalne, badające możliwość poszczególnych upraw rolnych i zalesienia, które by zapobiegło niszczącym wszelkie zasiewy wichurom. Przy nieustającej pomocy bratnich narodów Związku Radzieckiego Chakasja w zawrotnym tempie poczęła odrabiać swoje wielowiekowe zaniedbanie. Wielka wojna narodowa jeszcze mocniejszymi więzami połączyła Chakasję z resztą narodów Kraju Rad. Poza bezpośrednim udziałem Chakasów w walce, kraj był schronieniem dla wielu ewakuowanych, a jego wciąż największe bogactwo — konie, stało się cennym wkładem dla armii.

Akcja książki Kożewnikowa toczy się już po wojnie w r. 1947. Mimo wielkich przemian, Chakasja to wciąż kraj ubogi i pustynny, klimat i gleba przesądzają zdawałoby się na zawsze jego los. W tych warunkach nawet piękna rasa chakaskich koni nie może się należycie rozwijać z braku odpowiednich pasz i wygonów. Zwycięska walka o przeobrażenie Chakasji z powrotem w kraj rolnictwa i hodowli, w kraj pól, łąk i sadów — to treść książki Kożewnikowa. Bohaterem jej jest Stefan Łutonin — agronom, zootechnik, mechanik „tak po trosze wszystko", jak sam siebie określa, świeżo mianowany dyrektor stadniny w Białym Jeziorze.

Książka Kożewnikowa ma właściwie dwa wątki, dwa zasadnicze problemy, do połowy książki zresztą ściśle z sobą splecione. Jedna tkanka, powiedziałabym reporterska, to opowieść o Chakasji, o jej historii, ludowych obyczajach i sztuce a potem gruntowna rejestracja, wszystkich nowatorskich poczynań, ze szczegółową zawodową znajomością opowiedziane sprawy nawadniania kanałami stałymi i niestałymi, zatrzymywanym śniegiem, sprawy poszczególnych upraw, wydoskonalonych metod hodowli koni itd. itd. Jest tych spraw o wiele więcej niż wymieniono, a ich obszerne przedstawienie w książce nie zawsze jest potrzebne z punktu widzenia fabuły ani nawet ogólnej problematyki powieści. W trzeciej i czwartej części, gdy główny konflikt został już zakończony, one stanowią właściwy trzon książki.

Z tego co powiedziałam, można by wywnioskować, że powieść gubi się i rozlatuje w sprawozdawczym opisie. Z punktu widzenia sztywnych rygorów kompozycyjnych niewątpliwie tak by to można określić, tylko że książka przez to ani na chwilę nie staje się nudna, a więc... rygory zawodzą. I jeśli wspomniałam o jej młodzieńczości, to tu pora to uzasadnić. Jakaś ogromna namiętność i zachłanność poznawcza a jednocześnie niemal gwałtowność uczuciowa, cechuje pisarza. Chce on ogarnąć i zrozumieć wszystkie sprawy tej ziemi z najdrobniejszymi szczegółami i stopniowo w tym procesie stają się one dla niego tak jak dla każdego mieszkańca Chakasji niemal sprawami życia. Gruntowna znajomość różnorodnych dziedzin zawodowych przepojona jest zachwytem nad poszczególnymi pomysłami, triumfem i radością nad ich realizacją. Ku końcowi książki, gdy słabnie fabuła, wzrasta tempo reportażu. Przy raz rozbudzonej inicjatywie, która trafiła w najistotniejsze potrzeby i najgłębsze marzenia ludzi, pomysły sypią się jak lawina, nawet listonosz okazuje się odkrywcą, tempo prac rośnie i coraz konkretniej zarysowuje się wizja nowej, szczęśliwej epoki. Umiejętność ukazania coraz szerszych perspektyw z całym osobistym zaangażowaniem i zdobywczą pewnością — nawet jeśli to się dzieje kosztem zatarcia fabuły, niedokończenia pewnych wątków czy zaniedbania postaci — porywa czytelnika szerokim oddechem, wciąga w gwałtowne tempo marszu ku nowemu.

Zasadniczy wątek fabularny „Ożywczej wody" to walka Stefana Łutonina z tępą biurokracją o zastosowanie nowych metod w gospodarce stadniny. Sprawa ta wybiega zresztą daleko poza interesy samej stadniny stając się w ogóle zagadnieniem przyszłości gospodarczej Chakasji. Tereny stadniny są tylko pierwszym polem doświadczalnym, które ma przekonać o celowości lub niesłuszności tych poczynań.

Łutonin przyjeżdża do Białego Jeziora przed samym okresem siewów. Szybko orientuje się, że przewidziane plany nie zapewnią potrzebnych plonów. W porozumieniu ze stacją naukowo-doświadczalną postanawia opóźnić terminy siewów, a wykorzystać czas dla nawodnienia kanałami najbliższych terenów, co w konsekwencji zapewni jeszcze w tym roku znacznie bogatsze i z góry dające się przewidzieć — bo niezależne od skąpych opadów, zbiory. Techniczna prostota tego planu i jego niewątpliwa słuszność, będąca konkretyzacją marzeń wszystkich Chakasów, olśniewają i porywają zarówno kolektyw stadniny jak i okolicznych mieszkańców. Z tępym zaślepieniem spotyka się tylko Łutonin w kierownictwie trustu, które żąda wykonania przewidzianego planu zasiewów w terminie, nie licząc się zupełnie z konsekwencjami. Gdy wreszcie Łutonin kategorycznie odmawia wykonania ich zarządzeń, udowadniając ich bezsensowność, zostaje usunięty ze stanowiska dyrektora. Ale raz podjęty i przedstawiony ludziom projekt, rozpalił już ich wizją lepszej przyszłości. Organizacja partyjna i rada zakładowa stadniny, cały wreszcie kolektyw postanawia mimo to budować dalej kanały. Łutonin zostaje przy pracy, jako kopacz rowów. Jednocześnie partorg stadniny, Domna Borisowna, jedzie przedstawić sytuację w Obwodowym Komitecie Partii. I tam oczywiście sprawa zostaje oceniona zupełnie inaczej. Plan Łutonina jest twórczym wnioskiem z „Uchwały Plenum Komitetu Centralnego WKP(b) o metodach rozwoju gospodarki rolnej w okresie powojennym". Łutonin wraca na stanowisko dyrektora, otrzymuje wszelką pomoc i pełnomocnictwa, a po jakimś czasie trust poczyna do niego przysyłać praktykantów i wycieczki z okolicznych sowchozów dla zapoznania się z osiągnięciami jego gospodarki.

Łutonin to najpiękniejsza postać w całej książce i postać najbardziej wyrazista, z największą starannością przedstawiona, czego nie można na ogół powiedzieć o postaciach innych, najczęściej z lekka tylko naszkicowanych w miarę potrzeby ich udziału w akcji. Łutonina wyposażył autor w bliskie sobie, a jednocześnie charakterystyczne dla przemian człowieka radzieckiego, cechy. Łutonin to człowiek o szerokich i różnorodnych zainteresowaniach i zdolnościach, lubiący pracę na nowych terenach, zachłanny w stosunku do wszelkiej wiedzy, w decyzji i działaniu szybki do gwałtowności, ale zawsze opierający się na solidnej kalkulacji intelektualnej, w realizacji zamierzeń wytrwały do uporu marzyciel ową leninowską potrzebą marzenia, po każdym osiągnięciu już myślący o dalszym kroku, wiecznie niecierpliwy, a przy tym pełen humoru i serdeczności, człowiek o jakimś wielkim rozmachu całej swojej natury. Niegdyś powiedziano by może — postać zbliżona do ludzi Renesansu, dziś, wiemy — to człowiek nadchodzącej epoki komunizmu. Stworzenie postaci takiego bohatera to jedna z trwałych wartości tej książki.

I jeszcze parę słów o marginesowych, być może, ale bardzo pociągających urokach tej książki. Jest nim przede wszystkim obraz społeczeństwa końskiego. Brzmi to trochę śmiesznie, ale mniej więcej odpowiada rzeczywistości książki. Bo jakżeż szeroko kreśli Kożewnikow skomplikowane obyczaje życia stad i tabunów, ileż widzimy końskich „indywidualności", które pamiętamy nie gorzej niż ludzi: akuszer Abakan, prowodyr Feniks, doświadczony Wrony, zajadły Psotnik i wiele innych ileż ich walk z wilkami, ich konfliktów lub przyjaźni z ludźmi, ich bardzo subtelnych odcieni wzajemnego współżycia. Wszystko to kreśli znów Kożewnikow nie tylko ze wspaniałą znajomością rzeczy, ale z ciepłem i serdecznością, traktując konie tak jak Chakasi, dla których są one często równie bliskimi przyjaciółmi, jak ludzie. Te wspaniałe historie z życia koni stanowią niemal „książkę w książce", ale znów trzeba powiedzieć, że nie mamy o to do autora żalu. Podobnym uczuciem otacza również autor drzewa.

I wreszcie, powracając do punktu wyjścia, ma ta książka urok wspólny zresztą wielu opowieściom o odległych krajach Związku Radzieckiego — urok egzotyki, odmienności, odległych historycznie formacji, połączony z urokiem tworzenia wspólnego z innymi narodami, najwspanialszego na ziemi ustroju. Poprzez bardzo osobisty stosunek autora i wybór niesłychanie charakterystycznego pod tym względem terenu, książka Kożewnikowa o Chakasji jest jedną z najpiękniejszych pozycji w tym gatunku literatury radzieckiej.

Wanda Leopold

*) Aleksiej Kożewnikow — Ożywcza woda, Warszawa 1952 Sp. Wyd Ośw. Czytelnik, str. 559, tłumaczyli: Szymon Borkowski, Danuta Mieszkowska, Stefan Zbrożyna.

RECENZJE POETYCKIE

JANINA PREGER

NOWE WIERSZE SŁUCKIEGO



Arnold Słucki

Nowy tomik wierszy Słuckiego „Spotkania" *) jest trzecim z kolei jego zbiorem poetyckim. Tematyka książki to wspomnienia żołnierskie, braterstwo broni z bojownikami radzieckimi w walce o wyzwolenie Polski, to wspomnienia z młodości spędzonej w małym miasteczku czy na wsi, na upośledzonej przez ustrój głuchej prowincji, wspomnienia, przechodzące w obrazy dzisiejszej, spółdzielczej wsi polskiej; dalej porusza poeta sprawy polityki międzynarodowej — przyjaźń z socjalistyczną młodzieżą NRD, wspólna walka o pokój. W wierszach okolicznościowych upamiętnia wybitne zdarzenia z budownictwa krajowego i z polityki światowej. Słucki jest pisarzem politycznym, oddającym swoje pióro sprawom aktualnym na polu walki o socjalizm w Polsce i na całym świecie.

Celem, który Słucki postawił sobie w „Spotkaniach", jest prostota i komunikatywność, autor zrezygnował z dążeń do wyszukania i sztuczności, które obciążały dawną jego twórczość. Istotnie, wiersze obecne są przejrzyste, przemówią do słuchacza i w świetlicy, i w brygadzie młodzieżowej. Tematyka młodzieżowa przeważająca w „Spotkaniach" oraz serdeczny ton który zadźwięczał w wierszach Słuckiego, kwalifikują je do tej roli. To należy odnotować na dobro autora. Jako przykład można przytoczyć wiersze: „Deszcz", „Traktorzystom", „Spotkanie z Ostrowskim", „Wspomnienie" są to najlepsze utwory w tomiku. Słucki pokazał, że umie pisać o wsi, o POM-ie, o traktorzystach nie jak miejski łyk kawiarniany, przystępujący do zadania „z programem w ręce", lecz jak „swój człowiek", który poznał z bliska dolę i niedolę bytu wiejskiego — i dlatego potrafi prawdziwie, w sposób osobisty i ujmujący szczerością odczucia, wyrazić zapał dla budowy nowego, szczęśliwego życia na wsi. Powtórzę raz jeszcze: serdeczny ton tych utworów jest czymś nowym i przemawia na korzyść tomiku. Obok pokutującego jeszcze w „Spotkaniach" spojrzenia przez różowe okulary na wiele spraw — zaznacza się przecież w obrazie współczesnej wsi Słuckiego ton realistycznej obserwacji, nuta świadomości tego, że prawdziwa praca i walka na wsi nie odbywa się w złoconych ramach sielanki, lecz wśród zmagań ludzi, kłopotów z żywiołem. Słucki nie pisze o tym w formie wykładu, lecz myśl ta zabarwia jego obrazy. O kłopotach z ludźmi mniej się dowiemy — wspomni tylko o kułaku ukrywającym zboże w kominie. Poetę interesują bardziej portrety postaci pozytywnych na wsi: młodych chłopców zetempowskich, o których opowiada w swych gawędach prosto, ciepło, z zapałem. Ale młodzi bojownicy o sprawę przyszłości wsi występują nie w odświętnym świetle południa, lecz o ciemnym, szarym świcie, poprzez niepogodę,, która tak bywa niebezpieczna dla plonów. W obrazach wsi spółdzielczej jest już koloryt realistyczny, który bierze czytelnika. Choćby to, że poeta nie zaciera zmarszczek na twarzach swoich pozytywnych bohaterów. Plastyczny jest u Słuckiego obraz nowej wsi gospodarującej na miejscu dawnego folwarku i pałacu.

Deszcz spijał wapno z jabłonek
w parku.
Czworaki. Zetempowiec zaświecił
latarką.

Krąg ziemi zajaśniał i w świetlnym
krążku
Deszcz smagał plecy kamiennym
posążkom.

Pod skrzydełkami chowały piąstki,
To deszcz — chcę zawołać — nie bat
ekonomski...
To deszcz...

Przytoczyłam tu tylko wstęp wiersza, który by należało cytować w całości.

Tematyka wsi współczesnej łączy się u Słuckiego ze zwrotem do liryki osobistej, do wspomnień z młodości spędzonej na głuchej prowincji, na ziemiach zapomnianych przez Boga i ludzi za czasów sanacyjnych. Ten „powrót do miejsc ukochanych w młodości" (aby pożyczyć słów Iwaszkiewicza), zwrot do refleksji i retrospekcji — wzbogacił u Słuckiego obraz wsi współczesnej o ciepło osobistego stosunku, o bliskość. To znów do odnotowania na korzyść poety. Słowem, kierunek, w jakim rozwija się Słucki w „Spotkaniach", dał dobre wyniki: niektóre wiersze zyskały na konkretności zawartej w nich treści poetyckiej i na wymowie emocjonalnej, a zarazem stały się dostępne dla szerokich kół.

Ale trzeba się zastrzec. Żaden temat nie zawiera recepty na niezawodne powodzenie artystyczne. Na tej samej tematyce „wiejsko-wspomnieniowej" oparty wiersz „Dom nad Huczwą" jest nieudały. To surowy materiał, niezorganizowany przede wszystkim pod względem rytmu.

Pisze przyjaciel do mnie w liście,
że w rodzinnym moim domu —
skąd radziecką już widać granicę —
świetlicę
założyli traktorzyści.

Dostały się tu do druku zwroty, które powinny były pozostać w brulionie. Myszką trąci „śpiewna ma namiętność", a niefortunnie wygląda dwuwiersz:

Na stole książki i gazety —
może są w nich moje wiersze

(Szczególnie, że zaraz dalej wspomina się Mickiewicza i Puszkina). Mówię o tym dlatego, że sprawa niedopracowania utworów jest zasadniczą wadą tomu „Spotkania" w ogóle.

Na ogół z tematyki wiejskiej lepiej udaje się Słuckiemu gawęda o współczesności, zabarwiona lirycznymi reminiscencjami — niż zupełnie osobista liryka wspomnieniowa. Wprawdzie w wierszu „Sen" z luźnie zestawionych obrazów wynika wymowa rewolucyjna, jak chciał autor, ale tak jest nie zawsze. Liryka ta bywa zbyt mało zorganizowana wewnętrznie, wierszowi brak energii w budowie zdań i strof, czasem w kompozycji całości, brak precyzji w wyrażaniu myśli, tam, gdzie potrzeba poetyckich „sformułowań" wyrażonej idei, jasnego wykładu przesłanek i wniosków. Tak jest np. w wierszu „Mój dom". Obrazy „grają" nastrojem każdy z osobna, ale ich związek jest zupełnie nieuchwytny. Autor nie zdołał opanować budowy zdania, nie potrafił tak połączyć strof, aby wynikało z tego zawarte w utworze stwierdzenie.

Stary dom mój stoi, gdzie grusza
nie drży — jak sen skamieniały.
Dzieciństwo brzeg swój wynurza.
Nachyl się, wierszu dojrzały.

By słowiki, które dawniej drwalom
wtórowały — zachęcały cieśli.
Może w sadzie jakimś ocalał
mój rozśpiewany rówieśnik...

Niechaj lata moje przeliczy
na tę radość zdobytą, świadomą,
kiedy córki nasze prześliczne
przebudzimy w naszym nowym domu.

Proszę zwrócić uwagę na kolejne spójniki, zaczynające zdania i strofy. Czyż istotnie wiersz ten wypowiada jasno to, co chciał wyrazić autor: radość z kulturotwórczej pracy socjalistycznej na ukochanych w dzieciństwie miejscach, gdzie panował niegdyś żywioł i krzywda? Często w wierszach „Spotkań" natrafiamy na niedowład wyrażania myśli. Charakterystycznym przykładem nieporadności językowej i godzenia się z łatwizną jest zakończenie wiersza „Na postoju", zakończenie — część najbardziej ważka kompozycyjnie!

K i e d y dźwignął się żołnierz z postoju,
G d y ziemia zakołysała się w boju,

Żołnierz wiedział na pewno, czyja
będzie ta ziemia, g d y broń nabijał.

Ż e b y wojen nie było więcej,
kłos wschodził, domy stygły w cemencie.

Niezręczna budowa tych zdań, sposób użycia spójników przypomina mowę dziecięcą: „Żeby on mnie nie bił!"

Język jest dziedziną wymagającą największej pracy poety. Oto np. fragment „Pieśni o przyjaźni" — wiersz tu nie różni się od nieskładnej prozy:

Pod Stalingradem jest z i e m i a
c z a r n a —
Z e b y z i e m i ę c z a r n ą spulchnić,
ż e b y rosły słoneczniki,
b y w stepie toczyło się ziarno
za frontową dymiącą kuchnią —
moje ręce nienawykłe
zgrabiały jak ta gruda twarda.

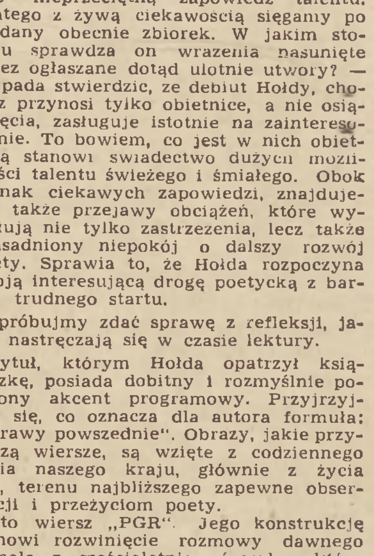
Czasami również w tematyce politycznej (np. w wierszach berlińskich) autor posługuje się tropami „poetyki gazetowej": „w miasta pulsującą aortę wleje się młodość epoki", „pokoju nie gasnące słońce".

Autor często nie odróżnia notatki brulionowej od skrystalizowanego wiersza (taki niewykrystalizowany do końca jest np. wiersz „Młody kamieniarz"). A przecież Słucki potrafi dawać ujęcia zupełnie „skończone" w tego typu wierszach klasycyzujących, wierszach-inskrypcjach (np. wymowne „Wspomnienie"). Brak selekcji ujemnie wpłynął na ogólny poziom tomiku. Jest to ostrzeżenie dla pisarza przed pospieszną robotą.

*) Arnold Słucki „Spotkania". Warszawa. 1952. PIW. Str. 46 i 2 nlb.

HIERONIM MICHALSKI

INTERESUJĄCY DEBIUT



Edward Hołda

Wiersze, które składają się na zbiorek Edwarda Hołdy „Sprawy powszednie"[1], pamiętamy z czasopism. Zdecydowane w budzewie na sprawy walki o socjalizm i pokój, pełne siły i dynamiki, nacechowane żarliwością tonu lirycznego, wyróżniały się spośród prób naszych najmłodszych poetów i nakazywały wiązać z nazwiskiem autora baczniejszą uwagę. Nie ulegało wątpliwości, że niezależnie od niedociągnięć, braku dojrzałości, a nawet obciążeń ideowo-artystycznych stanowiły one nieprzeciętną zapowiedź talentu. Dlatego z żywą ciekawością sięgamy po wydany obecnie zbiorek. W jakim stopniu sprawdza on wrażenia nasunięte przez ogłaszane dotąd ulotnie utwory? — Wypada stwierdzić, że debiut Hołdy, chociaż przynosi tylko obietnice, a nie osiągnięcia, zasługuje istotnie na zainteresowanie. To bowiem, co jest w nich obietnicą stanowi świadectwo dużych możliwości talentu świeżego i śmiałego. Obok jednak ciekawych zapowiedzi, znajdujemy także przejawy obciążeń, które wywołują nie tylko zastrzeżenia, lecz także uzasadniony niepokój o dalszy rozwój poety. Sprawia to, że Hołda rozpoczyna swoją interesującą drogę poetycką z bardzo trudnego startu.

Spróbujmy zdać sprawę z refleksji, jakie nastręczają się w czasie lektury.

Tytuł, którym Hołda opatrzył książeczkę, posiada dobitny i rozmyślnie położony akcent programowy. Przyjrzyjmy się, co oznacza dla autora formuła: „sprawy powszednie". Obrazy, jakie przynoszą wiersze, są wzięte z codziennego życia naszego kraju, głównie z życia wsi, terenu najbliższego zapewne obserwacji i przeżyciom poety.

Oto wiersz „PGR". Jego konstrukcję stanowi rozwinięcie rozmowy dawnego fornala z sześcioletnią córeczką, która podbiega do niego w czasie odpoczynku po pracy i zapytuje: „czyje to?", pokazując pola PGR-owskie i zanim ojciec się namyśli, jak wytłumaczyć sens słowa „państwowe", sama daje natychmiastową odpowiedź: „nasze". Poeta trafnie posłużył się przykładem życiorysu dawnego fornala i jego dziecka do zilustrowania zaszłych przemian, które pociągnęły za sobą w świadomości ludzi przemiany pojęcia własności, od kapitalistycznego „cudze-własne" do socjalistycznego „nasze". Zarys sytuacji uwydatnia założenie i akcent wniosku, który formułuje robotnik PGR:

I wiesz: w tej walce ustąpić
przed wrogą myślą nie wolno.
Iść będziesz dalej i dalej,
dziecko cię własne podeprze.
To dziecko, któremuś oddał
zwycięstwo swoje nielekkie.
To dziecko, które dodało
do tego zwycięstwa — spokój.

Prawie wszystkie wiersze zbiorku, podobnie jak cytowany, mogą być przykładami, jak Hołda, odtwarzając „sprawy powszednie", pokazuje przede wszystkim fakty i zdarzenia, w których odsłania się sens przeobrażeń kształtujących rzeczywistość oraz piękno i trud budowy socjalizmu. Widać to, kiedy razem z poetą patrzymy czy na budowę linii kolejowej Śląsk — Nowa Huta, czy na traktory zaorujące miedze indywidualnych poletek, lub na żarówki rozjarzające się w dawnych czworakach dworskich. Szczególnie cenne jest to, że poeta zawsze stara się pokazać, jak siła socjalizmu, stwarzając nowe warunki życia, stwarza jednocześnie nowego człowieka.

Poetycko zużytkowany symbol gwiazdy Kremlowskiej, o której wiersz „Dzieciom Wysocickich spółdzielców" mówi, że:

Ze spółdzielczych widać ją okien,
gdy się twarzą zwrócić w jej stronę...

świadczy, że autor wydobywając w obrazach życia codziennego sens dziejącej się historii umie stworzyć szerszą perspektywę spojrzenia i słusznie wiąże budownictwo socjalizmu w naszym kraju z wielkim i zapładniającym przykładem Związku Radzieckiego. Tak samo słusznie wydobyty jest związek naszej pracy z walką, jaką przeciw imperializmowi prowadzą wszystkie ludy miłujące wolność i pokój. Oto słowa traktorzystki POM-u w Kacicach, kiedy wzywa do współzawodnictwa:

Ja
matkę drogą
mam na Malajach.
Druga jej córka
padła za wolność.
Przeciw niedoli rodzina staje
moja najbliższa,
z Chile,
bezrolna.

Krąg zatem założeń programowych młodego poety obejmuje istotnie sprawy powszednie naszej rzeczywistości, które są równocześnie jej sprawami najważniejszymi. Jest w tym wyraz zdecydowanej postawy i żarliwości ideowej, która, odrzucając z pola widzenia to wszystko, co odchodzi i obumiera, skupia uwagę wyłącznie na tym, co rodzi się nowe, rozwija się i zawiera w sobie przesłanki przyszłości. Ta cecha uderza w debiucie Hołdy przede wszystkim. Nie znajdujemy tu nic ze skłócenia, załamania, zbłąkania czy wahania, których przejawy były tak znamienne w twórczości debiutantów sprzed kilku jeszcze lat. Nie jest to zresztą cecha, która wyróżniałaby jednego tylko Hołdę. Charakteryzowała ona także, nieco wcześniej wydane, książki Mandaliana i Gaworskiego i będzie charakteryzować odtąd zapewne większość nowych debiutów. Decyduje o tym etap historyczny rozwoju naszej rzeczywistości, której przemiany przyśpieszają i pogłębiają ogólną krystalizację ideologiczną. Programowe założenia debiutu Hołdy mogą być pod tym względem przykładem wyrazu świadomości ideowej najmłodszego pokolenia, które wzrasta już w warunkach, kiedy może przyjąć w całej pełni wpływ doniosłego procesu kształtowania się narodu socjalistycznego.

Właściwości talentu młodego poety, które wyróżniały jego wiersze już w czasopismach, widać w tym, w jaki sposób sięga on po tematykę odzwierciedlającą sens naszych czasów. Jest to mianowicie dążenie do nadania obrazom jak największej konkretności i nasycenia ich w jak najsilniejszym stopniu tonem osobistego wzruszenia. Dzięki temu Hołda nie popada nigdy w deklaratywność tak często spotykaną w utworach jego rówieśników a nawet starszych kolegów. Pomocny poecie w wyminięciu tego niebezpieczeństwa jest niewątpliwie fakt, że widzi on świat nie tylko wyłącznie jako liryk, ale także w pewnej mierze jako epik. Wszystkie bowiem sprawy, o których opowiadają wiersze, wiążą się nierozerwalnie z określonymi sytuacjami i ludźmi działającymi w określonych warunkach. Tę przyrodzoną poecie właściwość widzenia, która pozwala mu w konkret-

1) Edward Hołda: „Sprawy powszednie". Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 50 i 2 nlb.

nym i sugestywnym obrazie rozwinąć skomplikowaną nawet niejednokrotnie problematykę, obserwowaliśmy już w przytoczonych utworach. Można by dalej cytować, wskazując podobne właściwości tematycznych, np. interesujący wiersz „Stary ślusarz o żelazie", który opisuje momenty przekazywania doświadczeń terminatorowi, mówi o miłości starego robotnika do zawodu czy dalej „Historia odbiornika radiowego". Wszystkie te utwory, niezależnie od pewnego nieraz rozgadania i braku kompozycyjnej dyscypliny, naiwności w rysunku lub motywacji opisywanych spraw, pokazują zmysł i dążenie do konkretności jako cenny i zasługujący na podkreślenie rys talentu Hołdy. To decyduje zarówno o przekonywającym jak i ujmującym oddziaływaniu jego poezji.

W zbiorku jednak znajdujemy niestety, wiersze pozbawione całkowicie tych cech. Oto przykład:

Tocz się pszeniczny gradzie,
zrodzony przez chmurę blasku:
braci
sytością nadziei,
wrogów
atakiem zaskocz.

Ta apostrofa do zboża jest fragmentem wiersza „Trójka skupu zwyciężyła". W całym wierszu, utrzymanym w podobnie oderwanym ujęciu i tonie, zagubiła się zupełnie sprawa określona w tytule, pozostał tylko gromki łomot słów. Podobne momenty sygnalizuje inny przykład:

Idziemy
w gradowej chłoście.
osmala nas ryża spieka.
Gnoimy zwyczajne radości
Gnoimy zwycięstwo człowieka.
W technice uciela się rozum,
technika wskrzesza rozłogi.
Idziemy
sierpami mrozem.
Bijemy jasne drogi

Także ten fragment, wyjęty z wiersza „Majowa pieśń drogowców", ilustruje rozpanoszoną w części utworów groźną skłonność do zachłystywania się gromkością, w której zatraca się kompletnie jakiekolwiek konkretne związki z rzeczywistością. Skłonności tej towarzyszy u Hołdy inna jeszcze, której wyniki, używając określenia [illegible], można nazwać „rozjątrzeniem stylistycznym". Występuje ono nawet w wierszach wymienionych na początku, które tworzą najcenniejszą część zbiorku. Niekiedy zaś nabiera wymowy szczególnie jaskrawej. Jest to dążenie do wydobycia za jaką bądź cenę niezwykłości wyrazu słownego. Skutki, jak pokazują wybrane przykłady, nie najjaskrawsze zresztą, są wysilone, dalekie od prostoty, nierealistyczne. Przyczyny występienia tych przejawów należy szukać w zadziwiających, przy zdecydowanej postawie ideowej, zawikłaniach świadomości artystycznej, zaciemnionej w bardzo wielkim stopniu uleganiem niebezpiecznym wpływom kierunków antyrealistycznych. Niektóre mianowicie wiersze Hołdy, jak np. przytoczona „Pieśń majowa drogowców", przypominają do złudzenia dawno pogrzebane hybrydyczne twory, jakie powstawały po pierwszej wojnie światowej z pomieszania założeń ekspresjonizmu i futuryzmu, niektóre znów są dowodem poddania się pokusom imażinizmu.

Największy utwór zbiorku „Spotkanie", poemat liryczny z wyraźnymi elementami epickimi, reprezentuje właśnie w stopniu może najwydatniejszym zarówno najlepsze rysy uzdolnień poetyckich Hołdy, jak i jaskrawe przejawy zwikłań świadomości artystycznej, które muszą budzić zastrzeżenia i niepokój. Poemat ten jest bardzo interesujący. Poeta chciał tu pokazać wahania wdowy po chłopie biedniaku, która mimo namowy syna, traktorzysty, i mimo doświadczeń wyzysku kułackiego długo nie może się zdecydować na wyprowadzenie swego życia na inną drogę i przystąpienia do spółdzielni produkcyjnej. Sytuacja, która wyznacza ramy obrazu, jest rozbudowana i ukazana na konkretnym tle zachodzących w kraju rewolucyjnych przeobrażeń. Obraz jest nieco za słabo skoncentrowany, ale na ogół przekonywający. Niektóre partie poematu świadczą o nieprzeciętnym darze poetyckim autora. Wystarczy zacytować dla przykładu bodaj fragment opowieści traktorzysty:

A my się mścimy, fornale,
o, my się za przeszłość mścimy:
wznosimy szkoły i domy,
nie ustajemy w trudzie.
Za skamieniały zakalec,
za oczy przeżarte dymem,
wracamy wzrok niewidomym,
chleb podajemy ludziom.

Wymowę jednak poematu jako całości, pomijając już zrozumiałe u młodego poety niedostatki konsekwencji w kompozycji i braki precyzji poszczególnych obrazów, podważają przede wszystkim jaskrawe i nieznośne naloty owego znamiennego rozjątrzenia stylistycznego i wysilonego imażinizmu (wystarczy wspomnieć sam początek utworu). Wskutek tego właśnie „Spotkanie" uznane być musi, jak i cały zbiorek, jako zapowiedź nieprzeciętnych możliwości, ale nie osiągnięcie.

Po okresie wielkiej obfitości mieliśmy w ostatnim czasie bardzo mało debiutów poetyckich. Hołda jest już 116-tym z kolei debiutantem od czasu wyzwolenia, ale w tym roku razem z nim wystąpili tylko dwaj nowi poeci. Zrozumiała dlatego jest uwaga, jaką przyciągnęła jego książeczka wierszy. Uwaga zresztą najzupełniej uzasadniona interesującym bez wątpienia zjawiskiem, jakie reprezentuje autor. Wiersze jego pokazują, że [illegible] on w sposób oryginalny i własny, z wielką żarliwością ideową odtworzyć w obrazach codziennego życia naszego kraju tak znamienny patos rewolucyjnej drogi, tym bardziej przekonywający, że [illegible] biony widzeniem zarówno przeszłości krzywdy i buntu, jak i perspektyw przyszłości uwieńczonej ostatecznym zwycięstwem. Młodego poetę czeka wielki trud krystalizacji świadomości artystycznej i otrząśnięcia nalotów i obciążeń poetyk antyrealistycznych, które dzisiaj podważają wymowę i znaczenie jego wysiłku. Wiele trzeba odrzucić, ale jest z czym iść w dalszą drogę. Oczekujemy z zainteresowaniem na nowe wiersze Hołdy.

Hieronim Michalski

JÓZEF KELERA

Literatura stanisławowska dla szkoły średniej

Szkolny podręcznik historii literatury polskiej okresu stanisławowskiego *), opracowany przez Zdzisława Liberę, oddany został do druku przed niespełna rokiem. Wydanie drugie, niezmienione, ukazało się w kilka miesięcy później, razem z podręcznikiem literatury staropolskiej. Główny wszakże zrąb podręcznika, o ile mi wiadomo, przygotowany był i napisany jeszcze znacznie wcześniej. Te „historyczno - bibliograficzne" informacje konieczne są dla zrozumienia sytuacji książki, w stosunku do której wysuniemy niemało zarzutów; zarzuty te byłyby przecież niesprawiedliwe bez podkreślenia, że znaczna ich część stanowi nie tyle krytykę pracy autora, ile krytykę naszego stanu badań nad literaturą Oświecenia sprzed lat mniej więcej dwóch — temu bowiem stanowi badań, z grubsza biorąc, odpowiada podręcznik. A właśnie owe minione dwa lata w poważnym stopniu zmodyfikowały i uściśliły w wielu punktach nasze pojmowanie zarówno całokształtu tej literatury, jej dynamiki i przebiegu rozwojowego, jak i poszczególnych jej objawów i kierunków.

Chronologicznie i problemowo pomyślany wykład dziejów literatury polskiej w wieku XVIII poprzedza autor podręcznika ogólnym wprowadzeniem, w którym, w oparciu o wyniki badań marksistowskich historyków i historyków literatury, przeprowadza prawidłową periodyzację XVIII wieku w Polsce, zarysowuje sytuację historyczno - społeczną i kulturalną, omawia rolę czasopiśmiennictwa stanisławowskiego; wreszcie charakteryzuje najogólniej kulturę i literaturę Oświecenia na Zachodzie oraz ich związek z literaturą i kulturą w Polsce. Niepokój recenzenta budzi tu w zasadzie jedno tylko, ale bardzo istotne zagadnienie — zagadnienie klasycyzmu.

Wyjaśniając czytelnikowi pojęcie klasycyzmu, Libera stwierdza na wstępie, że był to „odpowiednik racjonalistycznego poglądu na świat w literaturze"(?). Taka „formuła zasadnicza" jest chyba co najmniej poważnym uproszczeniem. Wprawdzie autor informuje także o genetycznym związku klasycyzmu z kulturą absolutystycznego dworu francuskiego, ale w dalszym ciągu interpretuje klasycyzm przede wszystkim jako poetykę porządku, harmonii i racjonalności stylu. W myśl tej koncepcji Krasicki nazwany będzie dalej „najwybitniejszym przedstawicielem polskiego klasycyzmu", a Bohomolec, Naruszewicz, Trembecki i Węgierski „polskimi klasykami, którzy odznaczali się jednocześnie poczuciem realizmu".

Ograniczona ilość miejsca nie pozwala nam na obszerniejszą polemikę w tej kwestii. Owszem, zgadzamy się, że poetyka klasycyzmu w funkcji przypisywanej jej przez Liberę odegrała w Polsce poważną rolę *u progu Oświecenia*, jako miotła wymiatająca z literatury saski barok. Ale przecież w dalszym ciągu nie klasycyzm był miernikiem rozwoju literatury stanisławowskiej.

Jan Kott w swej najnowszej rozprawie o Trembeckim (udostępnionej mi w rękopisie) stwierdza m. in.: „Oświecenie było w literaturze *walką realizmu z klasycyzmem*... Klasycyzm przychodził do Polski jednocześnie z nowymi treściami Oświecenia, które podmywały kulturę wersalskiego dworu... Droga poetycka polskiego Oświecenia poprzez dwa główne etapy: obyczajowej satyry i upolitycznienia rodzajów literackich prowadzi od *rozpadu poetyki klasycznej* do swoistego realizmu..." (podkr. moje — J. Kel.). A więc nie klasycyzm i sentymentalizm tworzą w sumie obraz literatury stanisławowskiej, ale z jednej strony konwencja dworska w szacie zarówno klasycystycznej jak i sentymentalnej, z drugiej zaś realizm w różnej postaci (także i sentymentalnej) — oto właściwa linia podziału.

Żeby wyczerpać nasze zastrzeżenia wobec rozdziału wstępnego, trzeba jeszcze wynotować pewne niezbyt szczęśliwe sformułowania i uproszczenia rzeczowe (te ostatnie niewątpliwie wynikłe ze skrótowości wykładu). Pisze np. autor (str. 227 w wyd. drugim), że charakterystyczną w literaturze postacią okresu po r. 1780 jest Kajetan Węgierski. Rzeczywiście Węgierski jest bardzo charakterystycznym *prekursorem* drugiego okresu literatury naszego Oświecenia, jednakże „charakterystyczną jego postacią" być nie może, bo po r. 1780 przebywa za granicą i nic już nie tworzy. Zupełnie natomiast nieudane i niezrozumiałe dla czytelnika w kontekście popularnego i skąpego w komentarz historyczny wykładu jest stwierdzenie (s. 227), że Sejm Czteroletni „doprowadził do wzmocnienia się obozu reakcyjnego"(?).

Przejrzyście napisany jest rozdział o „pionierach postępu" z epoki saskiej. Autor daje tu głównie, na tle historycznym, przegląd postępowych wystąpień publicystów i polityków szlacheckich od Karwickiego i Jabłonowskiego, poprzez Leszczyńskiego i Poniatowskiego — do Konarskiego. Szczegółowo omówiony jest sam Konarski. Ponadto krótko i trafnie scharakteryzowano twórczość Drużbackiej.

Przegląd pisarzy stanisławowskich rozpoczyna Libera słusznie od Bohomolca, podkreślając jego zasługi jako wieloletniego redaktora *Monitora* i przede wszystkim autora komedii, które na dobre zapoczątkowały świetny rozwój teatru stanisławowskiego. Twórczość satyryczną Gracjana Piotrowskiego wskazano jako przykład przełamywania się literatury od sarmackiego baroku do reformatorskich tendencji Oświecenia. Bohomolec, Naruszewicz, Trembecki i Krasicki, stanowiący razem literacką czołówkę tzw. pierwszego pokolenia pisarzy stanisławowskich, związani są wszyscy bardzo silnie z dworem Stanisława Augusta i jego polityką reform odgórnych, a w twórczości swej przed r. 1780 wszyscy czterej realizują z różnymi modyfikacjami program „wychowania" szlachty dla dzieła reform i krytyki niektórych nadużyć ustroju.

Słabiej niestety wypadło omówienie twórczości Trembeckiego, złożonej zresztą i nastręczającej przy interpretacji niemałe trudności. Nie dość mocno podkreślono śmiałość i ostrość libertyńskich utworów Trembeckiego z lat siedemdziesiątych, nie zwrócono uwagi na bardzo istotny związek poety z myślą filozoficzną encyklopedystów, jako na jedno z głównych źródeł jego materializmu i libertynizmu.

Wreszcie dwie omyłki, z których druga bardzo przykra. Pierwsza dotyczy chronologii życiorysu: szambelanem królewskim został Trembecki nie w r. 1777, jak informuje Libera (s. 278), ale już w 1773. Przyczyną drugiej omyłki jest znany wiersz Trembeckiego p.t. *List do posłów wracających z Grodna 1793*. Utwór ten zinterpretowany został zupełnie fałszywie na podstawie jednego, wyrwanego z kontekstu cytatu, i wymieniony przez autora w liczbie „wierszy odznaczających się wnikliwością i trafnością oceny polityczno - społecznej" (!?!) (s. 279). W istocie jest to jeden z najbardziej reakcyjnych utworów tej doby, w którym — jak pisze Jan Kott — Trembecki „chciał z ramion króla zrzucić hańbę Targowicy i Grodna, odpowiedzialnością obarczyć Sejm Czteroletni i obóz reformy".

Jednym z lepszych jest z kolei rozdział poświęcony Krasickiemu. Trafnie na ogół zarysowana została sylwetka literacka największego z poetów polskiego Oświecenia, prawidłowo wypunktowana ewolucja jego twórczości, słusznie w zasadzie naświetlona postawa ideowa w różnych okresach życia, dość umiejętnie zaakcentowane trwałe wartości jego poezji. Stanowczo jednak niewskazane wydaje się nadmierne akcentowanie rzekomego „klasycyzmu" Krasickiego — nie było to przecież na pewno w jego twórczości zjawisko o walorze dominującym i nie ono przyczyniło się do szczytowych artystycznych osiągnięć poety.

I znowu niestety wytknąć musimy omyłki rzeczowe. Alegoryczna opowieść dziejów Polski w powieści Krasickiego o *Narożnej kamienicy w Kukurowcach* nie kończy się, jak utrzymuje Libera, na panowaniu Augusta III Sasa, ale doprowadzona jest aż do roku pierwszego powstania (1794) i zakończona proinsurekcyjnym apelem: „Do broni!". Prawdą jest tylko, że ów *ostatni i najważniejszy rozdział* powieści, zawierający alegorię dziejów Polski stanisławowskiej, Krasicki sam wykreślił po upadku insurekcji.

Twórczość literacka pisarzy, związanych ideowo z dworskim stronnictwem reformy, na ogół załamuje się po zasadniczej klęsce tego stronnictwa, jaką było odrzucenie przez szlachtę Kodeksu Zamoyskiego w r. 1780. Na czoło literatury nowego okresu wysuwają się teraz pisarze młodsi, niezwiązani z dworem, reprezentujący sferę kształcącej się zalążkowo szlacheckiej inteligencji i z reguły znacznie bardziej radykalni od swych poprzedników. To zasadnicze przekształcenie literatury stanisławowskiej po r. 1780, niedostrzegane nigdy przez historiografię burżuazyjną, unaocznił autor podręcznika bardzo wyraziście, podkreślając wpływ nowego układu sił politycznych i znaczenie wielkomiejskiej Warszawy jako zaplecza nowego literackiego ośrodka. Na tym tle trafnie scharakteryzowano twórczość Węgierskiego, śmiałego prekursora literatury okresu po r. 1780; zaakcentowano słusznie ostrze antymagnackie jego poezji, jej libertynizm i racjonalizm, łączność z kształtującym się, niezależnym od wpływów dworskich ośrodkiem kulturalnym warszawskiej inteligencji i związek z życiem ludowej Warszawy. Omyłki: przypisanie Węgierskiemu (zresztą w ślad za Estreicherem) wiersza Jasińskiego *Zdanie moje*— tutaj pod tytułem *Mądrość*.

Trafnie też na ogół wypadło omówienie twórczości innych pisarzy, należących ideowo i chronologicznie do drugiego etapu dziejów naszego Oświecenia. Wyjaśniono czytelnikowi przełomowe znaczenie komediopisarstwa Zabłockiego i doniosłą historycznie rolę jego satyr i pamfletów politycznych. Niemcewicz oświeceniowy pokazany został głównie jako autor *Powrotu posła* i satyr antytargowickich. Omówiono wreszcie radykalną ideowo twórczość dramatyczną Bogusławskiego, podnosząc jego ogromne zasługi dla organizacji narodowego teatru. Uwadze autora uszedł tu jedynie dość istotny związek Bogusławskiego z sentymentalizmem.

A właśnie następny z kolei krótki rozdział, poświęcony sentymentalizmowi, budzi stosunkowo najwięcej sprzeciwów. Idzie tu zresztą o najtrudniejszy bodaj z problemów literackich naszego Oświecenia, po dziś dzień ostatecznie nie rozstrzygnięty i nie opracowany. Mimo wyróżnienia w literaturze sentymentalnej wstecznego nurtu dworskiego (który Kott określił jako pseudosentymentalizm) i nurtu postępowego - w trakcie wykładu pod nazwą „sentymentalizmu"— charakteryzuje obydwa nurty łącznie, a przez to wybitnie deprecjonuje sentymentalizm właściwy. Akcentując słusznie wsteczne cechy konwencji rokokowej i jednocześnie nie dość ostro odgraniczając od niej sentymentalizm właściwy — Libera spycha w cień jego postępowe wartości, wytwarza w sumie nadmiernie krytyczny, krzywdzący obraz sentymentalizmu.

W ramach tej ogólnej, nietrafnej koncepcji szczególnie dotkliwie skrzywdzony został Karpiński. Nader niebezpiecznym uproszczeniem jest interpretowanie ludowości w poezji Karpińskiego jako odpowiednika tendencji jedynie filantropijnych, stanowiących, jak stwierdza autor, „próbę ratowania feudalizmu, wyraz lęku przed radykalnym rozwiązaniem kwestii chłopskiej" (s. 328). O radykalizm Karpińskiego nikt kruszyć kopii nie myśli, jednakże w ludowej tematyce, w ludowym realizmie i słownictwie wielu jego utworów trzeba ocenić bardzo istotne zbliżenie do kultury i obyczaju ludowego, ludowej psychiki, miejscami niemal już elementów ludowego światopoglądu.

Zupełnym nieporozumieniem jest doszukiwanie się u Karpińskiego preromantyzmu. W pieśniach religijnych Karpińskiego, na które się tu autor przede wszystkim powołuje, nie ma w istocie ani krzty mistycyzmu; jest natomiast, jak i w innych utworach tego poety, zmysłowe, obrazowe widzenie świata i wiele elementów ludowego światopoglądu, ludowej prostej metaforyki i gminnego słownictwa.

Bardziej poprawnie wypadła interpretacja twórczości Kniaźnina. Jednakże właśnie w zestawieniu tej z grubsza poprawnej interpretacji z krzywdzącą i niesłuszną oceną Karpińskiego wychodzi na jaw zasadnicze zamącenie układu wartości w polskim sentymentalizmie. Czołowe bowiem wartości naszej poezji sentymentalnej wiążą się bezsprzecznie — wbrew tradycyjnym sugestiom polonistyki burżuazyjnej — w znacznie większym stopniu z twórczością Karpińskiego niż Kniaźnina.

W oparciu o nowe prace badaczy-marksistów omówiono starannie działalność Wybickiego, twórczość publicystyczną, naukową i literacką Staszica, Kołłątaja i F. S. Jezierskiego; ukazano ich rolę w torowaniu dzieła reform, w podważaniu zrębów feudalizmu w Polsce, w propagandzie postępu kapitalistycznego i w kształtowaniu narodu burżuazyjnego. Scharakteryzowano działalność i znaczenie Kuźnicy Kołłątajowskiej, ukazano rozwarstwienie obozu reform w dobie Sejmu Wielkiego. Zwrócono też uwagę na antagonistyczny nurt publicystyki reakcyjnej stronnictwa magnackiego. Omyłki: *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego* Staszica ukazały się, jak wiadomo, w r. 1785, nie zaś w 1788, jak podaje autor podręcznika. Nadto niezbyt udatnie sformułowane jest umieszczone na wstępie rozdziału zdanie, w którym mowa o „dążeniu postępowych grup szlacheckich do likwidacji (?) feudalizmu".

Ostatni rozdział podręcznika omawia literaturę rewolucyjnego nurtu plebejskiego, który doszedł do głosu w burzliwym okresie lat dziewięćdziesiątych, u schyłku niepodległego bytu narodu. Obok anonimowej poezji plebejskiej z epoki rządów Targowicy (1792-4) i ludowej pieśni powstania kościuszkowskiego scharakteryzowana została twórczość Jakuba Jasińskiego, „najwybitniejszego — jak słusznie stwierdza Libera — poety ruchów narodowo - wyzwoleńczych i rewolucyjno - społecznych" w Polsce XVIII wieku.

*

Wszystkie wynotowane niedostatki interpretacyjne i omyłki rzeczowe podręcznika — te ostatnie prawdopodobnie wynikłe jedynie z pośpiechu — są do usunięcia w następnych wydaniach. W najogólniejszym bowiem zarysie nakreślony został w podręczniku prawidłowy obraz literatury naszego Oświecenia, jej rozwoju w uzależnieniu od działających sił społecznych, jej kolejnych etapów i przełomów. W całym toku wykładu została silnie uwydatniona, tocząca się w dobie Oświecenia, walka o język i związek literatury z procesem kształtowania się nowożytnego burżuazyjnego narodu. Wreszcie wydobyto i odpowiednio podkreślono trwałe wartości stanisławowskiej literatury.

Książka Zdzisława Libery jest pierwszym szkolnym podręcznikiem, przynoszącym prawdziwą, odkłamaną z mistyfikacji nauki burżuazyjnej wiedzę o literaturze Oświecenia. Będzie ona niewątpliwie dla uczniów i nauczycieli walną pomocą, dobrym i pożytecznym przewodnikiem w ich pracy.

Józef Kelera

*) Historia literatury polskiej, klasa IX, cz. II, Literatura okresu stanisławowskiego, opr Zdzisław Libera, Warszawa 1952; w wydaniu drugim jako część ostatnia książki pod nazwą Historia literatury polskiej, klasa IX. Od początków piśmiennictwa do końca XVIII wieku.

NOTATKI Z PODRÓŻY DO MOSKWY (II)

WYDAWCY, PISARZE I CZYTELNICY

Najpiękniejszym przykładem współpracy wydawnictwa z czytelnikiem i twórcą jest chyba Dom Książki Dziecięcej w Moskwie. Jest to oddział wydawnictwa „Dietgiz", posiadający własny gmach, duże audytorium, dwie czytelnie, biblioteki, sale wystawowe, stanowiący jak gdyby laboratorium twórcze wydawnictwa.

Pracuje tam 36 osób, w tym 14 redaktorów i konsultantów, oraz 10 bibliotekarzy. Mieści się tam czytelnia dla dzieci starszych i młodszych, gdzie daje im się nowości do przeczytania i omawia się je z nimi.

DKD zbiera propozycje do planu perspektywicznego Dietgizu na lata przyszłe, prowadzi obszerną korespondencję z czytelnikami (około 50.000 listów rocznie), odpowiedzi opracowuje i materiał udostępnia redaktorom i pedagogom w formie stałego biuletynu; porozumiewa się z bibliotekarzami, rozpisuje ankiety np. na temat wyboru najlepszych tekstów bajek ludowych na podstawie dotychczasowych wydań, pracuje nad teorią i historią literatury dziecięcej XIX i XX wieku, prowadzi badania eksperymentalne w szkołach i bibliotekach w sprawie opracowań dla różnych poziomów, zrozumiałości poszczególnych wyrazów i objaśnień, wstępów i posłowi. Prowadzi dalej metodyczne spisy książek z notami objaśniającymi. Propaguje wśród rodziców i bibliotekarzy najracjonalniejsze metody wyboru książek i korzystania z nich. Organizuje około 500 wystąpień pisarzy przed dziećmi rocznie: w audytorium DKD lub w sali Czajkowskiego czy Kolumnowej.

Niektórzy autorzy (jak np. Michałkow) nie decydują się na oddanie rękopisu wydawnictwu przed wysłuchaniem opinii dzieci. Niezmiernie poważnym przedsięwzięciem jest podstawowa biblioteka naukowa, w której gromadzi się stare i nowe wydania literatury dziecięcej wszystkich krajów od końca XVIII wieku. Dotychczas zgromadzono około 100.000 tomów. Biblioteka i połączona z nią pracownia bibliograficzna przeznaczona jest dla pracowników naukowych na polu pedagogiki. DKD organizuje stałe i okolicznościowe wystawy książek w swoim gmachu, w szkołach i świetlicach Moskwy i na prowincji; rozwija również własną działalność wydawniczą, publikując książki i zbiory artykułów dla pedagogów, bibliotekarzy i rodziców.

Pracownicy DKD nazywają siebie samych, ze śmiechem, „zespołem entuzjastów". Ale każdy, kto w tej dziedzinie pracował, łatwo pojmie, jakiego entuzjazmu i oddania sprawie trzeba było, jakiego zainteresowania i poparcia ze strony państwa socjalistycznego, aby tak wspaniały, słynny już dziś na świecie, instrument pracy pedagogicznej i wydawniczej, przeszedł drogę od fantastycznego nieco pomysłu kilku zapaleńców do realizacji.

RECENZJE, RADY I PLAN

Godna uwagi jest pomoc, jaką otrzymują wydawnictwa radzieckie od całej społeczności krytyków, pisarzy, uczonych i wszelkiego rodzaju specjalistów. Pomoc ta jest funkcją roli, jaką w kulturze radzieckiej odgrywa książka. Sprawy stoją tak, że nie można sobie już dziś wyobrazić, aby akademia, instytut naukowy, aby uczony, polityk, literat odpowiedzieli wydawnictwu odmownie na propozycję konsultacji, recenzji lub porady. Przeciwnie, są one traktowane jako obowiązek ważny i pilny, wykonywany z najdalej idącą sumiennością i dokładnością. Wydawnictwo „Mołodaja Gwardia" pamięta dobrze, jak wielki Wawiłow, napisawszy recenzję i przedmowę do pracy Morozowa o Łomonosowie, będąc już ciężko chory, na kilka dni przed śmiercią dopytywał się usilnie o losy recenzowanej przez siebie książki.

Wszystkie centralne wydawnictwa posiadają rady redakcyjne złożone z najlepszych specjalistów kraju, zbierające się regularnie kilka razy do roku, aby omówić wyniki pracy, plany i trudniejsze zagadnienia wydawnictwa.

Inną formą takiej współpracy są plany perspektywiczne, sporządzane już przez niektóre instytucje wydawnicze. Na przykład „Gospolitizdat", zajmujący się literaturą marksistowską i społeczno-polityczną, układając plan na 3 lata, zbiera od zainteresowanych instytucji i osób, a także proponuje sam, około 1.500 tematów najbardziej w planowanym okresie godnych opracowania książkowego, dzieli je według redakcji i działów bibliograficznych i układa z nich rodzaj katalogu tematycznego z niewypełnionymi rubrykami „autor" i „termin wykonania". Ten katalog, wydrukowany w kilkuset egzemplarzach, rozsyła się znów do instytutów naukowych i politycznych, do publicystów, uczonych i polityków. Wtedy rozpoczyna się praca nad wypełnianiem pustych rubryk i nad uzupełnianiem planu perspektywicznego nowymi pomysłami lub tematami, znajdującymi się właśnie na warsztacie poszczególnych twórców. Taka metoda ogranicza przypadkowość i żywiołowość planowania do minimum i daje gwarancję, że książki, które się ukażą, będą rzeczywiście odpowiadać najżywszym, aktualnym potrzebom społeczeństwa.

WYDAWNICTWO I PISARZ

Najbardziej charakterystycznym przykładem współpracy z pisarzem jest działalność wydawnictwa „Sowietskij Pisatiel", które powstało w 1938 r., jako bezpośredni twór i jedno z odgałęzień bogatej aktywności Związku Pisarzy Radzieckich. Zadaniem tej instytucji jest wydawanie nowości rosyjskiej literatury pięknej i przekładów nowości z 50-ciu języków narodów Związku Radzieckiego.

Współpraca z autorem, zwłaszcza z debiutantem, jest centralnym zagadnieniem wydawnictwa. Co rok, w miastach i wsiach, w kołchozach i fabrykach pojawiają się nowe talenty. Od roku 1949 każdy rok przynosi około piętnastu nowych nazwisk. Godnym podkreślenia jest fakt, że znakomita większość Nagród Stalinowskich przypada w udziale debiutantom.

Ale triumfy te nie przychodzą łatwo. Dobry debiut — to zwycięstwo na froncie, wywalczone niemałym trudem. Rękopis zdradzający talent, ale mający duże niedostatki, opracowuje autor przy pomocy wydawnictwa niekiedy całymi latami. Pomocy tej udziela się autorowi w formie okresowych narad zespołowych, albo przydzielając autorowi recenzenta - konsultanta, który systematycznie współpracuje z autorem przez dłuższy okres czasu. Często praca ta kończy się powstaniem dzieła sztuki i opłaca się wydawnictwu stokrotnie. Zdarza się również, że z dalekich stron kraju nadchodzi do redakcji próbka rozpoczętej powieści, w której pióro robotnika czy kołchoźnicy zdradza znajomość życia i ludzi, interesujące spojrzenie na to, co ich otacza, a zarazem dużą nieporadność. Wtedy wydawnictwo wysyła konsultanta w teren. I tak rozpoczyna się wielomiesięczna często współpraca z autorem w terenie, a rezultatem bywa pojawienie się nowego nazwiska na horyzoncie literatury.

Inna forma mobilizacji autorów, zastosowana przez „Dietgiz", to stały doroczny, rozpisany po raz pierwszy w r. 1944, konkurs „na najlepszą książkę beletrystyczną dla dzieci", w którym, prócz pisarzy, biorą udział pedagodzy, rodzice i młodzież. W roku 1951 nadeszło 638 rękopisów! Wśród nich, prócz utworów nagrodzonych lub wyróżnionych, znalazło się 60 nie nadających się wprawdzie do wydania, ale niewątpliwie interesujących. Z autorami tych prac „Dietgiz" nawiązuje ścisły kontakt i pokłada duże nadzieje w wynikach tej współpracy.

Stale tropi się możliwości pisarskie u ludzi różnych zawodów ludzi, którzy dużo w życiu widzieli, wiele przeżyli. Na przykład: operator filmowy Karmen, który spędził dłuższy czas w Turkmenii przy swej pracy zawodowej, z namowy

Kolejny odcinek „DZIENNIKA" JANA SZEMBEKA, który z przyczyn natury technicznej nie został zamieszczony w bież. numerze „Nowej Kultury", ukaże się w numerze następnym. (Red.)

Wielki Benon

„W Warszawie w roku 1639 Władysław IV nadał konfraterni księży Benonów przywilej dozwalający na postawienie browaru piwnego i wolnego od opłaty wyszynku piwa. Księża Benoni robiąc piwo, pod pozorem nabożeństwa, w ogródku swoim postawili kapliczkę Pana Jezusa Nazareńskiego u słupa, do której — pisze dalej współczesny kronikarz — lud pobożny codziennie uczęszczał dla modlitwy. Ale do ogrodu, w którym była statua, trzeba było przechodzić przez izbę szynkową, za tym każdy odprawiający pielgrzymkę do ogródka musiał, nim tam wszedł, wypić kwartę piwa, lub za nią zapłacić, bo inaczej do ogrodu wpuszczony być nie mógł".

Rewolucyjny poeta zginął z rąk okupanta. Mijają lata i nie widzimy żadnej jego książki. Każdy kto pomyśli — skoro zabili człowieka widocznie i jego dzieło musieli zniszczyć faszyści — nie będzie miał racji. Dzieło przejął ktoś wzorujący się na osobliwym zakonie konfraterni Benonów. Świątobliwi chuligani mają naśladowców najbardziej z pozorów „laickich". Ten ktoś, korzystając z faktu, że w rękach jego rodziny znalazł się dorobek rewolucjonisty, postanowił zarobić nieco pieniążków. Nawarzył więc piwa — napisał przedmowę do zebranych utworów poety i... wali do wydawcy! Chcesz się dostać do rewolucyjnych wierszy? — pij nawarzone przeze mnie piwo: czytaj wstępik malutki za duże pieniążki na sprzedaż oto wystawiony. Atoli czasy króla Władysława IV minęły i Henryk Ładosz wrócił do domu z tomem utworów Szymańskiego. I oto mija już siódmy rok po wojnie i rosnące w Polsce, o którą walczył Szymański, młode pokolenie nie może czytać jego wierszy, bo obywatel naszego kraju, członek Związku Artystycznego uparł się „wyredagować sobie" parę tysięcy złotych.

Nie można w piśmie poświęconym kulturze używać porównań z dziedziny zoologii, ograniczając się więc do dziedziny historii Warszawy powiedzmy prosto: na wielkiego wygląda pan Benona!

Nieznawuj Giez

Z HISTORII PRZYJAŹNI POLSKO-NIEMIECKIEJ



Fotokopia listu Koła Literackiego we Lwowie wystosowanego do Nitschmanna w 70 rocznicę jego urodzin

„Zdanie rzucone przez wrogów Polski z trybuny parlamentarnej — Polska nie ma literatury" — jest takim samym fałszem, jak wśród gęstej mgły okrzyk. — niebo nie ma słońca!"

Zdanie to wyjęte z przedmowy Henryka Nitschmanna do pierwszego wydania Historii Literatury Polskiej w języku niemieckim (Geschichte d. poln. Literatur 1882 r.), jest wyzwaniem rzuconym przez Niemca tym wszystkim wstecznym siłom pruskiego ducha, które rozpętały osławiony „Kulturkampf".

Henryk Nitstchmann znany jest jako poeta, literat i historyk literatury, a przede wszystkim jako tłumacz i to specjalnie poezji polskiej.

Wykaz ważniejszych jego prac przedstawia się całkiem pokaźnie, a dla Polaka specjalnie miło. „Polski Parnas" (Der polnische Parnass) — cztery wydania, „Iris" poezje polskie — trzy wydania, „Historia Literatury Polskiej" (Geschichte d. polnischen Literatur) — dwa wydania, „Obecny nurt literacki w Polsce" (Der heutige Literatur-bewegung in Polen 1884), „Epos staropruski — Hogia" (Hogia — Altpreussisches Epos 1885) i inne.

Historię Literatury Polskiej cechuje solidna i rzetelna praca. Całość dzieli się na pięć części. Pierwsza obejmuje okres Piastów od 1000 do 1364 roku. Druga, to okres powstawania właściwej literatury polskiej (1364 — 1622). Trzecia — obejmuje upadek twórczości polskiej i poezję panegiryczną (1622 — 1750), czwarta zaś — okres ponownego rozkwitu, aż do Mickiewicza (1750 — 1820), a wreszcie ostatnia od Mickiewicza do czasów współczesnych autorowi.

Najciekawszym, a zarazem bardzo cennym szczegółem pracy, jest to, że opócz omawiania przejawów i ruchów literackich Nitschmann podaje wiele celnych uwag o życiu i kulturze narodu, stwarzając tym samym jasne tło, tak potrzebne czytelnikowi z obcego środowiska.

Prace Nitschmanna musiały być znane kołom literackim ówczesnej Polski. Niezaprzeczonym tego dowodem jest list Koła Literackiego we Lwowie, przysłany jubilatowi w 70-tą rocznicę jego urodzin. „Stanąłeś jako chorąży między najszlachetniejszymi Twego narodu" — czytamy — „i otwierając przed ich duszą skarby naszego najidealniejszego życia duchowego, roztoczyłeś przed nimi barwny obraz rozwoju naszego piśmiennictwa i naszej oświaty, ABY NA TEJ DRODZE ZAPEŁNIĆ PRZEPAŚĆ, JAKĄ WYKOPAŁY WROGIE WZAJEMNEMU POROZUMIENIU SIĘ NARODÓW, ŻYWIOŁY".

Ilość egzemplarzy i wydań jaką osiągnęły tłumaczenia i inne prace Nitschmanna świadczą o tym, że właśnie w czasie nasilenia walki z polskością, znaleźli się Niemcy odczuwający i potępiający niesprawiedliwość i brutalność rządu pruskiego i jego metod. Na poparcie tego twierdzenia przytoczę wyjątek recenzji o pierwszym wydaniu Historii Literatury Polskiej, opublikowanej w „Elbinger Anzeiger" z 1880 r. „...Wymiana kulturalna narodów, wzajemne uznanie cech narodowych może nastąpić jedynie dzięki wzajemnemu poznaniu literatur... Charakter narodowy Polaków różni się od charakteru Niemców, ale narody te posiadają niewątpliwie wiele punktów stycznych, które mogą doprowadzić do wzajemnego porozumienia. Największe możliwości stwarza na tym polu — poezja. Tu gdzie człowiek bezpośrednio przemawia do człowieka, znajdą obie strony z dala od ubocznych wpływów czy opinii najlepszą płaszczyznę wzajemnego poznania, a może nawet... wzajemnej miłości".

Słowa recenzji, tak niezwykłe w epoce, w której zostały napisane, a przywodzące na myśl najpiękniejsze wspólne tradycje z okresu powstania listopadowego i Wiosny Ludów, były oddźwiękiem, który wywołała długoletnia, obiektywna i ofiarna służba prawdzie Nitschmanna.

Dziś, kiedy granica na Odrze i Nysie nie dzieli, lecz łączy dwa narody, które znalazły się w światowym obozie pokoju, należy przypomnieć wielkiego bojownika o wzajemne porozumienie, którym był Henryk Nitschmann.

Adam Bartoszewski

Z życia Z.L.P.

PISARZE WARSZAWSCY W AKCJI PRZEDWYBORCZEJ

Wszyscy pisarze zrzeszeni w warszawskim oddziale ZLP wzięli aktywny udział w akcji przedwyborczej. Najpopularniejszą formą propagandy przedwyborczej były organizowane w porozumieniu z poszczególnymi Komitetami Frontu Narodowego — wieczory autorskie. W Warszawie zorganizowano ok. 60 wieczorów autorskich, w woj. warszawskim — 26. Wieczory autorskie na prowincji objęły takie miejscowości jak Sierpc (wieczór autorski z udziałem A. Międzyrzeckiego i W. Rusteckiego), Piastów (M. Krzywicka), Przasnysz (M. Rusinek), Pułtusk (A. Sowiński).

Jako udział w akcji przedwyborczej należy wymienić również udział literatów w pracach Obwodowych, Dzielnicowych i Okręgowych Komitetów Frontu Narodowego (m. in. M. Dąbrowska, Z. Nałkowska, M. Brandys, W. Mach, J. Pomianowski, J. Broniewska).

W okresie bezpośrednio poprzedzającym wybory część literatów zgłosiła się do pracy w charakterze agitatorów, część miała dyżury w lokalach wyborczych. Poza tymi formami pracy wspomnieć należy na koniec o najważniejszej, choć trudnej do statystycznego ujęcia — służenia sprawie Frontu Narodowego piórem, znaczne zwiększenie współpracy z gazetami, radiem i filmem dokumentarnym.

(s. k.)

Z AKCJI PRZEDWYBORCZEJ W SZCZECINIE

W akcji przedwyborczej w Szczecinie brali udział z ramienia ZLP następujący koledzy:

kandydaci na posłów — Jerzy Andrzejewski i Edmund Osmańczyk

oraz — Maria Boniecka, Józef Czerni, Walerian Lachnitt, Henryk Piotrowski, Jan Rojewski, Tadeusz Sokół, Maria Kurecka i Witold Wirpsza. Ogółem członkowie Oddziału ZLP w Szczecinie uczestniczyli w 101 spotkaniach przedwyborczych, gawędach i dyskusjach, zarówno w mieście, jak i w terenie. Ponadto członkowie koła młodych: Zygmunt Beer, Józef Buszewicz i Stanisław Dauksza byli uczestnikami w 58 zebraniach przedwyborczych.

NOWE WŁADZE ODDZIAŁU SZCZECIŃSKIEGO

Dnia 27 b. m. odbyło się Nadzwyczajne Walne Zebranie Oddziału ZLP w Szczecinie, na którym kol. Jerzy Andrzejewski ze względu na przeniesienie się do Warszawy zrezygnował ze sprawowanej dotychczas funkcji prezesa Oddziału. Nowym prezesem Oddziału wybrany został kol. Witold Wirpsza. Ponadto na miejsce ustępującego kol. Stanisława Szydłowskiego, który również przenosi się do Warszawy, do Zarządu Oddziału dokooptowano kol. Marię Kurecką. Obecny skład Zarządu Oddziału ZLP w Szczecinie przedstawia się następująco: prezes — Witold Wirpsza, sekretarz — Jan Rojewski, skarbnik — Walerian Lachnitt, członkowie Zarządu — Maria Boniecka i Maria Kurecka. mk

O SZTUKACH TEATRALNYCH DLA DZIECI

W dniu 29 października odbyło się zebranie sekcji literatury dla dzieci i młodzieży przy warszawskim oddziale ZLP, poświęcone sprawie sztuk teatralnych dla dzieci.

W obszernym zagajeniu reżysera K. Krymkowej poruszone zostały zagadnienia, związane ze specyfiką sztuk dla młodego widza (np. sprawa adaptacji klasyków, zagadnienie baśni w teatrze, niebezpieczeństwo płynące z niejednolitości stylów, kiedy pierwiastek baśniowy zbyt plącze się z realizmem). Prelegentka dokonała też przeglądu wszystkich wystawianych obecnie sztuk dla dzieci, wykazując na konkretnych przykładach ich wady i zalety.

W dyskusji zabierali głos kol. kol.: Jurgielewiczowa, Żółkiewska, Jerzewska, Bąblewski, Borudzka, Januszewska, Skowronkówna, Woźniczko, Chamcowa, Życki, Kowalewska i inni.

W dyskusji poruszono m. in. sprawę trudności, na jakie natrafia teatr przy wystawianiu sztuk, w których powinny grać dzieci. Mówiono w związku z tym o sztukach dla teatrów świetlicowych i szkolnych. Podkreślano korzyści, jakie daje autorowi dyskusja na terenie sekcji przed wystawieniem, czy wydaniem sztuki.

Po dyskusji referentka odpowiadając na liczne pytania zreasumowała swoje postulaty, wysuwając na plan pierwszy następujące:

1) W celu zainteresowania szerszego grona pisarzy należy sprawę sztuk teatralnych dla dzieci omówić jeszcze raz, wspólnie z sekcją dramatu.

2) Należy również przeprowadzić dyskusję z przedstawicielami Ministerstwa Kultury i Sztuki na temat planów w dziedzinie repertuarów Teatrów Młodego Widza.

3) Zwrócić uwagę wydawnictwa „Nasza Księgarnia" na konieczność fachowej konsultacji przy wydawaniu sztuk dla teatrów świetlicowych i szkolnych.

M. K.

NAJBLIŻSZE ZEBRANIA SEKCJI TWÓRCZYCH ZLP W WARSZAWIE

Zarząd Warszawskiego Oddziału ZLP komunikuje, że zebrania sekcji twórczych ZLP odbędą się:

w dn. 17 listopada br w poniedziałek o godz. 17-ej. Sekcja Prozy. Temat: Jubileusz Marii Dąbrowskiej,

w dniu 19 listopada br. w środę o godz. 17-ej Sekcja Poezji. Temat: Uwagi o realizmie w poezji na podstawie doświadczeń A. Mickiewicza i W. Hugo (referuje Zbigniew Bieńkowski).

Kronika krajów demokracji ludowych

Nad czym pracuje obecnie Arnold Zweig

Arnold Zweig, jeden z największych współczesnych epików, ukończył w dniu 10 listopada b. r. 65 lat. Z tej okazji kwartalnik „Sinn und Form", organ Niemieckiej Akademii Sztuki, wydał specjalny numer poświęcony twórczości jubilata. Obok nieopublikowanych dotychczas prac Zweiga numer zawiera artykuły Anny Seghers, Brechta i innych wybitnych pisarzy niemieckich. W listopadowym numerze „Aufbau" piszą o Zweigu minister oświaty NRD Paul Wandel oraz Willi Bredel.

Wkrótce ukaże się nowy utwór Zweiga zatytułowany „Sowietisches Tagebuch" (Pamiętnik ze Związku Radzieckiego). Obecnie pisarz pracuje nad dalszymi tomami monumentalnego cyklu o pierwszej wojnie światowej. Pierwsze cztery tomy tego cyklu, m. in. sławny „Spór o sierżanta Griszę", ukazały się w latach międzywojennych. Całość cyklu autor przewiduje na osiem tomów.

W polskich przekładach ukazały się w latach ostatnich z twórczości Arnolda Zweiga powieść „Topór z Wandsbek" oraz tomik nowel „Opowieści dnia wczorajszego".

Zmiany w składzie Niemieckiej Akademii Sztuki

Skład osobowy Niemieckiej Akademii Sztuki został ostatnio znacznie zwiększony. Członkami Akademii zostali m. in. pisarz Ludwik Renn, poeta Peter Huchel oraz krytyk i publicysta Aleksander Abusch. Kandydatami na członków Akademii zostali m. in. poeci Stefan Hermlin i Kuba.

Przyjazd do Polski Franciszka Kubki

W miesiącu listopadzie przyjedzie do Polski w ramach wymiany kulturalnej wybitny pisarz czechosłowacki, laureat Czechosłowackiej Nagrody Pokoju, Franciszek Kubka. Z książek tego wybitnego pisarza, przetłumaczono na język polski „Uśmiech Paleczka", a w przekładzie zaś są „Powiastki dla Mr Trumana". W listopadzie przyjadą również do Polski dwaj teatrologowie czechosłowaccy: prof. Akademii Sztuk Pięknych dr Jan Kopecky oraz dyrektor Teatru Narodowego w Koszycach J. Thurzo.

Odznaczenie Gyuly Illyes'a

1 listopada b. r. Rada Prezydialna Węgierskiej Republiki Ludowej odznaczyła za wybitną działalność literacką laureata Nagrody Kossutha, pisarza Gyulę Illyes'a. Orderem Zasługi Węgierskiej Republiki Ludowej II klasy. Odznaczenie wręczył Gyuli Illyes'owi Dobi Istvan, przewodniczący Rady Prezydialnej Węgierskiej Republiki Ludowej.

Na uroczystość zorganizowaną przez Związek Literatów Węgierskich z okazji 50 rocznicy urodzin Illyes'a przybyli m. in. członek Komitetu Politycznego Węgierskiej Partii Pracujących Marton Horvoth, Minister Oświaty Jozsef Darvas, Pierwszy Wiceminister Kultury i Sztuki Ferenc Janosi. Wiceminister Kultury i Sztuki Sandor Erdei.

W Polsce znana jest książka Gyuli Illyes'a „Wódz i poeta". Druga książka tego pisarza „Ludzie z puszty" jest w trakcie tłumaczenia.

O Bożenie Slancikovej

W październiku minęła 85 rocznica urodzin zmarłej przed rokiem słowackiej pisarki Bozeny Slancikovej.

Bożena Slancikova całe prawie życie spędziła w miejscowości rodzinnej Novohradzku i w Abeloej, gdzie pracowała jako nauczycielka w przedszkolu.

Dorobek jej twórczości stanowi 12 tomów obejmujących nowele, opowiadania, powieści i sztuki teatralne. W utworach swoich pokazuje Slancikova życie wieśniaków słowackich i bogatego mieszczaństwa. W barwnych realistycznych obrazach przedstawia nędzę mas chłopskich, zacofanie rolnictwa, krytykuje nieszczery patriotyzm dbającego tylko o swoje interesy mieszczaństwa słowackiego. Utwory o tej tematyce to m. in. „Tapakowcy", „Wszystko dla narodu" — „Świadczenie", „Bohaterowie". W powieści „Dwie doby" napisanej po przewrocie, autorka poddaje krytyce rozkład kierowniczych sił społecznych w Słowacji.

Dzieła Slancikovej mają duże znaczenie dla rozwoju literatury słowackiej, ponieważ wskazują młodym pisarzom realistyczny kierunek twórczości.

Za wybitne zasługi Slancikova została odznaczona w 80-tą rocznicę swoich urodzin (w r. 1947) tytułem artystki narodowej.

W ostatnich latach swego życia Slancikova pracowała wśród młodzieży i była jedną z czołowych działaczy ruchu obrony pokoju.

Zjazd, który się nie odbył

Tegoroczny zjazd działaczy kultury z całych Niemiec miał się odbyć w Bayreuth (Niemcy Zachodnie). Dzień przed rozpoczęciem zjazdu na który przybyła także liczna delegacja z NRD pod przewodnictwem Johannesa R. Bechera, bawarski minister spraw wewnętrznych nagle cofnął zezwolenie na odbycie zjazdu. 11 naukowców i artystów należących do delegacji z NRD, aresztowano bez jakiejkolwiek przyczyny i zwolniono dopiero po dwóch dniach. — Warto zaznaczyć, iż w tym samym okresie odbył się w innej miejscowości Niemiec Zachodnich zjazd ponad 5.000 byłych członków SS.

Imprezy miesiąca przyjaźni Polsko-Radzieckiej

W dniach 7 i 8 bieżącego miesiąca szeregiem imprez kulturalnych rozpoczął się Miesiąc Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. W związku z Miesiącem Przyjaźni przybył do Polski zespół teatru „Mossowieta", teatrolog radziecki Markow, kompozytor Gomolakow, znany poeta Aleksiej Surkow i inni działacze kulturalni. Wzięli już oni udział w akademiach inauguracyjnych w Ursusie, na Żeraniu, w Hali Mirowskiej.

19 bm. w sali Politechniki odbędzie się spotkanie Płatonowa i Surkowa z młodzieżą akademicką. Poza tym odbędą się liczne narady i dyskusje z przedstawicielami świata teatralnego, literackiego i muzycznego.

7 listopada w Państwowym Teatrze Polskim odbyła się premiera sztuki Wsiewołoda Iwanowa „Pociąg pancerny". W sztuce występuje między innymi Leon Pietraszkiewicz, Marian Wyrzykowski, Władysław Hańcza, Aleksander Żabczyński, Maria Dulęba, Halina Mikołajska i Aleksander Dzwonkowski.

„Pociąg pancerny" reżyserował Leon Schiller. Oprawę scenograficzną przygotował Andrzej Pronaszko.

9 bm. odbyła się premiera sztuki „Sztorm" w inscenizacji zespołu „Mossowieta". Po przedstawieniach, które odbędą się w Warszawie, zespół wystąpi w innych miastach Polski.

Liczne imprezy organizują także polscy artyści. Piękne zobowiązanie podjął Aleksander Zelwerowicz: dn. 16 o godz. 19-ej w sali Instytutu Polsko-Radzieckiego (Foksal 10) będzie on recytował opowiadanie Czechowa i Gorkiego we własnym przekładzie.

W Miesiącu Przyjaźni otwarta będzie w Centralnym Klubie TPPR wystawa pod nazwą „Wymiana kulturalna Polski ze Związkiem Radzieckim".

(B)

KORESPONDENCJA

PRÓBA PRZEKŁADU Z JĘZYKA URZĘDOWEGO NA POLSKI

Wśród licznych przekładów z języków obcych brak jest dotychczas przekładu z języka urzędowego i to chyba tylko dlatego, że znajomość tego języka wśród społeczeństwa jest niestety jeszcze dość słaba.

Biorąc tedy pod uwagę, że językiem urzędowym pisane są dość liczne publikacje, a wśród nich prym wiedzie niewątpliwie Dziennik Urzędowy Ministerstwa Finansów, należy wezwać i zachęcić naszych tłumaczy do przełożenia najcelniejszych utworów z języka urzędowego na polski.

Podejmuję poniżej nieśmiałą próbę takiej pracy, której „realia" są następujące:

W Dzienniku Ustaw znaleźć można dekret z dnia 16 maja 1946 roku o postępowaniu podatkowym. Artykuł 37 ustęp 3 tego dekretu brzmi:

„Strona, nie godząca się z ustaleniami, zawartymi w protokóle, powinna złożyć umotywowane wyjaśnienia niezwłocznie w tym protokóle, ...(w niektórych okolicznościach — przypisek mój) może złożyć wyjaśnienia także w terminie tygodniowym po doręczeniu jej odpisu protokółu. Wyjaśnienia powinny wskazywać środki dowodowe, dające organowi finansowemu możność stwierdzenia zasadności wyjaśnień".

Ten tekst, napisany w języku polskim, został wyjaśniony i skomentowany w języku urzędowym (Dziennik Urzędowy Ministerstwa Finansów Nr 7 z dnia 24 maja 1952 r poz 25 str 31) jak następuje:

„Aczkolwiek przepis art. 37 ust. 3 nie podaje konsekwencji, wynikających dla strony, która, mając w stosunku do ustaleń protokółu badania ksiąg zastrzeżenia, nie złożyła w tygodniowym terminie umotywowanych wyjaśnień, wskazujących odpowiednie środki dowodowe, to jednak z sensu przepisu i jego logicznej wykładni wynika, że niedopełnienie przez podatnika wspomnianego obowiązku, zresztą wyraźnie w przepisie podkreślonego („strona powinna złożyć umotywowane wyjaśnienia") upoważnia organ finansowy do wniosku, że ustalenia protokółu zgodne są ze stanem faktycznym, a w związku z tym do zaniechania prowadzenia dalszego postępowania wyjaśniającego, jeżeli chodzi o kwestie protokółem objęte".

Ryzykuję przetłumaczenie tego tekstu na język polski w sposób następujący:

„Jeżeli strona nie złoży w przepisanym terminie uzasadnionych wyjaśnień i nie wskaże dowodów, na których swe zastrzeżenia opiera, organ finansowy może uważać, że ustalenia protokółu są zgodne ze stanem faktycznym (albo po prostu: prawdziwe) i nie wymagają dalszego wyjaśnienia."

Znawców języka urzędowego proszę o opinię, czy powyższa próbka tłumaczenia jest dobra. W każdym bądź razie zachęcam ich do przełożenia na polski całego okólnika, z którego wybrałem tylko jeden mały kawałek. Zdaję sobie sprawę z tego, że język urzędowy jest bardzo trudny do tłumaczenia, ale skoro jest dość powszechnie używany — nawet nie bardzo udane próby przekładów będą pożyteczne.

D. S.

W SPRAWIE CYTATÓW, NAZWISK I IMION

W artykule „Jesteśmy winni tolerancji" (Nowa Kultura z dnia 2.XI 1952, nr 44/130) zauważyłam kilka błędów.

Nazwisko prof. dr St. Batawii pisze się przez w, a nie v.

Tytuł pracy prof. dr B. Puchowskiego „Społeczna i diagnostyczna wartość kontroli trzeźwości" odnosił się do skreślonego przez Redakcję cytatu oraz do statystyki przyczyn nagłych wypadków śmierci, prowadzonej przez Zakład Medycyny Sądowej przy AM w Łodzi, a nie do życiorysów. Wszystkie życiorysy nałogowych alkoholików zaczerpnięte są z książki prof. dr Stanisława Batawii „Społeczne skutki nałogowego alkoholizmu", Warszawa, PZWL 1951.

Prof. dr Puchowski, kierownik cytowanego zakładu ma na imię Bronisław, a nie Stanisław, jak podano w tekście.

W wyniku skreślenia zdania o alkoholizmie wyrażającym poziom osobistych wymagań rozrywkowo-kulturalnych wykolejeni synowie burżuazyjni, kułaccy czy ziemiańscy zaawansowali w moim artykule do poziomu ludzi „stwarzających sobie inną rzeczywistość w kręgu doświadczeń narkomanii, alkoholizmu, surrealistycznych, egzystencjalistycznych koncepcji...", co jest w oczywistej niezgodności z rzeczywistością i poglądami na tę sprawę piszącej.

Danuta Zabłocka-Skupieńska

W opublikowanym w przedostatnim numerze „Nowej Kultury" reportażu Pawła Jasienicy pt. „Olimpiada dźwigających znamię" wkradły się następujące błędy:

1) zamiast „stawy pooperacyjne — osteofomia dynamiczna" — powinno być: stawy pooperacyjne — osteotomia dynamiczna.

2) zamiast „Twarz małej znowu nosi wyraz namiętnej uwagi" — powinno być: „napiętej uwagi".

3) zamiast „Ale trzeba jeszcze instytucyj" — powinno być „inwestycyj".

Red.

wydawnictwa napisał interesującą książkę o Kanale Turkmeńskim.

Inne zjawisko. Zdarza się coraz częściej, że pisarze, zbierając materiały do książki, zagłębiają się w pewną dziedzinę wiedzy i, ani się spostrzegłszy, stają się tęgimi specjalistami. Ogromna praca naukowa, wykonana przez Morozowa przy książce o Łomonosowie, przez Mariettę Szaginian przy książce o Armenii, sprawiła, że są oni obecnie również i uczonymi, członkami-korespondentami Akademii Nauk.

Przykłady te sygnalizują niewątpliwie stopniowe zacieśnianie się więzów między życiem, nauką i literaturą.

KRÓTKIE INFORMACJE

Gławpoligrafizdat — centralny urząd, kierujący ruchem wydawniczym, poligraficznym i księgarskim.

Zakres działania niektórych wydawnictw centralnych:

Gospolitizdat — wydaje klasyków marksizmu - leninizmu, dzieła z dziedziny filozofii, historii filozofii, teoretyczno - ekonomiczne, gospodarcze, z zakresu historii ZSRR i innych narodów; słowniki: filozoficzny, dyplomatyczny, polityczny; materiały do krótkiego kursu historii WKP(b), masową literaturę polityczną.

Goslitizdat — wydaje literaturę klasyczną rosyjską i narodów ZSRR, wznowienia radzieckiej literatury współczesnej, klasyków demokracji ludowych i krajów kapitalistycznych, antyku; dawnych i nowych krytyków literackich.

Sowietskij Pisatiel — wydaje nowości literatury i krytyki rosyjskiej i narodów ZSRR.

Mołodaja Gwardia — wydaje dla młodzieży: literaturę piękną (połowa całej produkcji), z uwzględnieniem utworów pisanych przez młodzież; literaturę komsomolską, pionierską; literaturę dla ruchu amatorskiego, literaturę popularno-naukową; serie: Nasza Ojczyzna, życie sławnych ludzi; literaturę geograficzną, podróżniczą; pisma: m. in. „Mołodoj Bolszewik", „Murziłka", „Wokrug swieta", „Technika mołodioży", „Drużba mołodioży", „Zatiejnik" itd.

Dietgiz — literatura dla dzieci, rozumiana dość szeroko: od książek obrazkowych dla małych dzieci aż do literatury dla młodzieży, kończącej dziesięciolatkę.

Techizdat — wydaje literaturę fizyko - matematyczną: działy: fizyka, matematyka, mechanika, astronomia, literatura popularno - naukowa z tego zakresu, słowniki techniczne.

Kultproswietizdat — literatura popularno - naukowa z dziedziny biologii, fizyki, chemii; problemowa (np. budowle komunizmu); materiały dla lektorów, dla pracy kulturalno - oświatowej, ruchu amatorskiego, opracowania biblioteczno-biograficzne, materiały poglądowe.

Izdatielstwo Inostrannoj Litiератury — wydaje przekłady z języków obcych z dziedziny: stosunków międzynarodowych i dyplomacji, literatury historycznej, literatury pięknej (tu ukazały się m. in. przekłady książki Wilczka, Zalewskiego, Putramenta, Rusinka, Pytlakowskiego), nauk matematycznych, prawa, filozofii, ekonomii, geo- i biologii, filologii, fizyki, chemii i geografii. Wielki dział informacji i bibliografii naukowej.

Wydawnictwa centralne (z nich wymienię jeszcze: Wyd. Akademii Nauk ZSRR, Akademii Nauk Pedagogicznych, Geografgiz, Kinoizdat, „Iskusstvo", Muzgiz, Profizdat, Uczpedgiz), wydawnictwa republikańskie i obwodowe — tworzą sieć, złożoną z przeszło trzystu instytucji wydawniczych, które, wraz z „grubymi" miesięcznikami i lokalnymi „Almanachami" współpracują z autorami całego kraju, najdalszych nawet zakątków.

Z RÓŻNYCH WRAŻEŃ

Moskwa — miasto tłumne i szumne; magazyny, sklepy, pełne towarów i nabywców, kupujących żywność i materiały włókiennicze, książki i wieczne pióra, lodówki i telewizory, zabawki i naczynia kuchenne, pianina i samochody. Co rok — niższe ceny, a więc co rok — wyższe zarobki. Ale są także i inne powody wzrostu zarobków. Duża rozpiętość płac w zależności od kwalifikacji, ambicja i ogólny pęd do nauki — wszystko to razem sprawia, że praca nad podwyższeniem swoich umiejętności zawodowych stała się zjawiskiem powszechnym. Niewiarygodna gęstość sieci wszelkiego rodzaju szkół i uczelni, również wieczorowych i korespondencyjnych, która umożliwia naukę bez odrywania od pracy, częstokroć naukę na miejscu pracy, sprawiła, że przeszło 25 proc. ludności, a po odliczeniu małych dzieci i starców przeszło 30 proc. ludności ZSRR kształci się: możliwości i perspektywy są takie, że uczy się każdy w kim kołacze choćby odrobina chęci i uzdolnienia.

Moskwa — miasto wieżowców. Podobnie jak wieże otaczają kręgiem pałace Kremla, tak wieżowce okoliły ze wszystkich stron miasto. Urok i potęga ich architektury, związanej zresztą mocno z elementami architektury kremlowskiej, oddychające szeroką przestrzenią rozległych placów, nie dają się niestety ująć okiem obiektywu fotograficznego. Miasto, w którym, prócz nowej, monumentalnej architektury, znaleźć można bardzo wiele interesującego budownictwa pałacowego i mieszkaniowego, zwłaszcza z pierwszej połowy XIX w., utrzymywanego w stanie pieczołowitej konserwacji, otóż miasto to w ciągu kilku zaledwie lat, dzięki wysokościowcom, nabrało zupełnie nowego, jedynego w swoim rodzaju, a niezmiernie interesującego charakteru. Sylwetki wieżowców pojawiają się coraz to z innych stron, gdy wędrujemy po Moskwie, i zwracają się ku nam coraz to innym profilem, dając rysunkowi miasta śmiałe, nieoczekiwane akcenty. Widzi się je wszystkie naraz, stojąc na skarpie Leninowskich Wzgórz, gdzie u stóp świeci się zakręt rzeki, a w dali rozciąga się całe miasto, otoczone półkolem wieżowców. Kiedy zaś odwrócimy się, u końca wielkiej płaszczyzny parku lśni jasną powierzchnią okładziny fantastycznie rozległy, a jednak niewiarygodnie lekki, niemal w powietrzu zawisły — Uniwersytet Moskiewski. Budynek — miasto nauki, gdzie 15.000 studentów będzie się uczyć, a 9.000 wygodnie mieszkać!

Publiczność teatralna w Moskwie jest podobno niezwykle grymaśna, ale ma też diabelne szczęście: pomyśleć! może sobie, choćby co dzień, odwiedzać moskiewskie teatry! A jednak, sądząc z jej zachowania, nawet ten teatr na codzień nie przestał być dla niej ważną i miłą sercu uroczystością. Ale też z jakim zapałem, ba, z uniesieniem nagradza ona oklaskami, okrzykami swych wielkich ulubieńców. A ma ich tylu! Widziałem, jak wywoływano Ułanową na „Czerwonym maku", Andrzeja Iwanowa i Michajłowa na „Kniaziu Igorze", jakie owacje mieli Paszennaja, Szamin, Żarow na „Wassie Żeleznowej", Łukianow, Paszkowa, Andriejewa, Rusinowa, Niekrasowa, Aleksiejewa na „Bułyczowie"... Ręczyć można, że myśl o szatni nie zaprzątała wtedy niczyjej głowy.

Jeszcze bardziej zadziwia jednak wysoki stopień kultury stutysięcznego tłumu na stadionie Dynamo. Byłem na zawodach piłki nożnej między reprezentacją Sofii i „Dynamo" w Tbilisi. Widocznie sprawił to południowy temperament drużyn, że gra była odrobinę za ostra i z obu stron pozwalano sobie niekiedy na faule. Publiczność moskiewska bardzo tego nie lubi: przenikliwe gwizdy i okrzyki niezadowolenia rozlegały się z trybun, z absolutną (uważałem dobrze!) bezstronnością. Tak sportową publiczność widziałem, muszę przyznać, pierwszy raz w życiu.

POŻEGNANIE Z MOSKWĄ

Były to uroczyste dla Moskwy dnie: otwarto właśnie dla żeglugi Kanał Wołgo-doński im. Lenina i miasto stało się — z dnia na dzień — portem pięciu mórz.

Szybki stateczek motorowy odbił od przystani w Chimkach i ruszył na niedzielną wycieczkę daleką odnogą tej samej trasy wodnej. Kanałem Moskwa — Wołga. Pogoda była piękna, a wycieczkowiczów mnóstwo — na wodzie i na lesistych wybrzeżach. Tam przygrywała kapela, ówdzie — harmonia, a ludzie weselili się i tańczyli.

Myślałem o tym, jak przedziwnie splata się w tym kraju przenikliwość leninowskiej myśli, Goelro, stalinowskie budowle komunizmu, z tym oto furkotem białego stateczku, sunącego w słońcu po kanale; polityka partii, śpieszące sobie naprzeciw spiętrzone wody rzek - olbrzymów i wesoły śmiech ludzi, bawiących się po pracy.

A gdy dobijaliśmy do przystani, aby przyłączyć się do zabawy, mignął mi w pamięci urywek listu Stalina do Demiana Biednego:

„To bardzo dobrze, że jesteście w wesołym nastroju. filozofia weltschmerzu nie jest naszą filozofią. Niechaj smucą się ludzie dnia wczorajszego".

Jan Stefczyk

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul Wiejska 14 I piętro. tel 4 01.80, wewn 95 oraz bezpośredni 7 36 23. Adres administracji W wa, ul Wiejska 12. tel 7 52 50. Wydaje RSW „Prasa".
Prenumerata i kolportaż: P P K. „Ruch". Oddz w Warszawie. ul Srebrna 12, tel 804 20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24.—, rocznie zł 48.—. Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa" W wa, Poznańska 38, konto PKO I 5589/111, tel. 7 38 05.
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5.
3-B-28042